



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET

ROK 1924. WARSZAWA, 26 LIPCA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr.

T R E Ś Ć N U M E R U :

Pielęgniarstwo dziecięce—*E. Rabowska*. Złot Harcerstwa—*H...a*. Międzynarodowy Kongres Kobiety w Ameryce—*Dr. med. J. Budzińska-Tylicka*. Rozmyślenia wakacyjne—*K. S. Wiersze—J. Stycz.* Drogami duszy (powieść) c. d.—*Helena Ceysingerówna*. Dobry Pasterz (c. d.)—*Zuzanna Rabska*. Emil Verhaeren (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka*. Szukający pocieszenia (nowela)—*Marja Dąbrowska*. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.)—*K. Bielańska*. Kobieta kraju Wschodzącego Słońca—*Kazimierz Rogala-Kosiński*. Notatki z podróży—*N. Samotybowa*. Co niesie życie—*H...a*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Z książek—*R. C-owa*. Dom—*W.* Hodowla indyków i perliczek—*M. Morzkowska*. Wskazówki praktyczne—*Pani Elżbieta*. Odpowiedzi z dziedziny kosmetyki—*Dr. Jadwiga Sadowska*. Dodatek powieściowy: 1) Biała dusza (dok.); 2) Zazdrość—*Ada Negri* (autoryzow. przekł. z włoskiego R. Centnerszwerowej). Dodatek robót i ubiorów. TABLICA WZORÓW.

PIELEGNIARSTWO DZIECIĘCE

Nie wielu ludzi u nas zdaje sobie sprawę z przyczyn, ogólnie stwierdzonego złego stanu zdrowia naszych dzieci i przerażającej wśród nich śmiertelności.

Przyczynami temi najczęściej są: powszechny brak wiadomości z dziedziny higieny, obojętność lub nierozsądek. Niestety, w szerokich masach panuje zupełny nieomal brak uświadomienia co do najprostrzych i najważniejszych zagadnień, dotyczących się wychowania niemowląt.

Dobrze w tym kierunku wykształcone pielęgniarki mogłyby w dużej mierze przyczynić się do zmniejszenia zła, dlatego kwestją pierwszorzędną jest sprawa wykształcenia, wyszkolenia pielęgniarek dziecięcych. Zadaniem takiej pielęgniarki byłoby utrzymanie zdrowia u normalnie urodzonych niemowląt i odpowiednie pielęgnowanie słabowitych i chorych dzieci, pod kierunkiem lekarza.

Śmiertelność i zły stan zdrowotny niemowląt zależy nietyle od stopnia wiedzy lekarskiej, ile od poziomu kulturalnego rodziny, a w szczególności zaś, kobiety.

Pielęgniarka dziecięca powinna być pomocą lekarzowi, dostarczając mu ścisłych swoich nad dzieckiem spostrzeżeń, powinna umieć odgadnąć to, czego dziecko wypowiedzieć nie jest zdolne, przede wszystkim zaś powinna uświadomić i pouczać matki o ich obowiązkach względem dziecka.

Jakże wiele matek nie wypełnia należycie tak, zdawałoby się, prostych swoich zadań! Najczęściej, nie zdając sobie sprawy z całej powagi swoich obowiązków, poruczają swe dzieci opiece mamek, nianiek, nie posiadających nawet najprostszego pojęcia o higienie i wychowaniu.

Wynikają stąd fizyczne i moralne krzywdy, wyrządzane dzieciom, które są w skutkach swoich zgubne i odbijają się na całym życiu dziecka.

WIEK, PRZYGOTOWANIE, CHARAKTER PIELEGNIAREK.

Doświadczenie wykazało, że kandydatka na pielęgniarkę powinna mieć skończonych lat 20 i wykształcenie przynajmniej, w zakresie szkoły średniej. Nieodzownym jest również, potwierdzony przez lekarza, dobry stan zdrowia i siły nerwów, gdyż dużego zasobu sił potrzeba do spokojnego i umiejętnego opanowania niepokoju i krzyku dziecka, dużej wytrzymałości w częstym nocnym czuwaniu.

Kandydatka na pielęgniarkę dziecięcą powinna mieć przedwstępne wiadomości z zakresu gospodarstwa domowego i najprostszych robót ręcznych, pożądane również byłoby przejście kursu freblowskiego.

Wymagania co do charakteru pielęgniarki dziecięcej są bardzo wielkie. W każdym innym zawodzie wystarcza, aby t. zw. „uczciwy” człowiek posiadał przy odpowiednich wiado-

mościach i inteligencji i te jeszcze zasadnicze cnoty: sumienność, pilność i obowiązkowość; dla pielęgniarki nie są one jednak wystarczające.

Nie wypełni całkowicie swego zadania ten, kto traktuje swoje zajęcie li tylko zarobkowo.

Szlachetny zawód pielęgniarki dziecięcej wymaga od niej czegoś o wiele idealniejszego i wyższego, niż ścisłego tylko wypełniania obowiązków. Wymaga on usług, których nie obejmuje żaden przepis, których nie można ani opłacić, ani wynagrodzić, za które nikt jej nie dziękuje. Musi ona, bez względu na własną wygodę, być dniem i nocą w nieustannej gotowości do niesienia pomocy.

Wrażliwa dusza dziecka, w tym przygotowawczym do życia okresie rozwoju, najbardziej potrzebuje właściwego kierunku.

Osoba, o usposobieniu pogodnym i spokojnym, połączonym z sumiennością, pełna uczuć macierzyńskich nadaje się na pielęgniarkę lepiej, niż osoba sentymentalna, która jednak szuka w swej pracy egoistycznego tylko zadowolenia.

Widzimy stąd, że najmniejsza niedbałość, któraby dorosłemu szkody nie przyniosła, u niemowlęcia może być powodem śmierci.

PROGRAM PIELĘGNIARKI DZIECIĘCEJ OBEJMUJE:

I. Zdrowe niemowlę:

Anatomja, fizjologia i rozwój, naturalne i sztuczne odżywianie, przygotowanie pożywienia, przekarmianie i niedokarmianie oraz odżywianie starszych dzieci — wreszcie umiejętność czynienia własnych spostrzeżeń.

II. Higjena niemowlęcia:

Pielęgnowanie ciała, pokój, łóżeczko, odzież, przyzwyczajenie do czystości i wychowanie małych dzieci.

III. Pielęgnowanie dzieci chorych.

Pielęgnowanie przedwcześnie urodzonych niemowląt, zaburzenia kiszki, zapalenia oczu, katar, kaszel, wysypki, choroby zakaźne, krzywica i szczepienie ospy.

IV. Do zupełnego egzaminu z praktyki wymagane są:

Zwykła obsługa pielęgniarska przy zdrowym niemowlęciu, a przy chorąb umiętne wykonanie przepisów lekarza.

Ogólny kurs, obejmujący powyższy program, powinien trwać najmniej 1 rok, poczem kandydatka powinna być wysłana z ramienia szkoły na praktykę do innych szpitali dla dokładnego zapoznania się z chorobami zakaźnymi, chirurgią i położnictwem.

UZDOLNIENIA I POSADY.

Najbardziej nadającymi się do pielęgniarstwa dzieci są osoby, przygotowane do zawodu nauczycielskiego, w zakresie szkoły niższej i freblanki.

Z powodu braku wykwalifikowanych sił, spotykamy się z dość częstym zjawiskiem sprowadzania opiekunek dzieci t. zw. „nurse“ z zagranicy. Dodać należy, że pozwalać sobie na to mogą tylko ludzie bogaci, podczas kiedy mniej zamożni są upośledzeni, nie mogąc znaleźć w kraju wykształconych pielęgniarek dziecięcych. Po skończonej nauce pielęgniarka może według swojego upodobania przyjąć posadę w szpitalu, w domu prywatnym, w żłobku, w schronisku dziecięcym, w kolonjach letnich lub wreszcie w zakładach dla dzieci niedorozwiniętych. W przyszłości pożądanym byłoby u nas stworzenie placówki pielęgniarki gminnej, szerzącej jednocześnie wśród ludu oświatę higieny na równi z nauczycielką, krzewiącą oświatę umysłową.

Koszta nauki ponosi pielęgniarka, podobnie, jak to jest w innych zawodach. Przepisane umundurowanie, obowiązujące po roku, powinna sobie sprawić sama.

Płaca — zależna od zajmowanej posady, nie powinna być mniejsza od przeciętnej pensji niższej nauczycielki.



Pielęgniarki gminne powinny mieć pensję z rządu lub samorządu.

Zajęcie pielęgniarki w założeniu swoim humanitarne, a w praktyce bardzo uciążliwe — upoważniać ją może do korzystania z wielu ulg, przyznawanych funkcjonariuszom publicznym. Należą tu: udział w kasie chorych, zniżka na kolejach i tramwajach i t. p.

Stanowisko społeczne. — Pielęgniarka świecka, mająca więcej swobody, niż pielęgniarka zakonnica, powinna na swoim stanowisku społecznym stać ponad wszelkimi klasami. Dewizą jej niech będą słowa: „jestem w służbie społecznej“. Z jednakową miłością będzie ona pielęgnowała biedne czy uposażone dziecko. Pierwszeństwo jednak dawać powinna biednemu, z sercem, przejętem najgłębszą litością i zrozumieniem nędzy. Przenikliwym wzrokiem powinna umieć rozpoznać, gdzie i kiedy pomoc naprawdę jest potrzebna, powinna umieć nauczać i wychowywać. Pracując w swoim zawodzie, pielęgniarka może się dalej kształcić, interesując się w szczególności zagadnieniami psychologicznymi i pedagogicznymi. W chwilach wolnych od zajęć, niech korzysta ze szlachetnych i wesołych rozrywek, jak sporty, odczyty, teatr, koncerty i t. p. przyjemności; działają one dodatnio, orzeźwiająco fizycznie i duchowo.

Zbytecznym byłoby powtarzać, że dobrze pojęty zawód pielęgniarki może dać nie tylko zadowolenie, ale i szczęście. Żadna inna praca nie odpowiada tak głęboko macierzyńskiemu uczuciu kobiety. Oby wszystkie młode pielęgniarki pamiętały, że drobiazgowy i zmuśny ich trud nad powierzonym im niemowlęciem, czuwanie nad budzącą się duszą dziecka, przyniosą im kiedyś nagrodę cudowną w poczuciu oddanej społeczności wielkiej usługi, niech pamiętają, że więcej otrzymują, niż ofiarują.

E. Rabowska.

była przełożona szwajcarskiej szkoły pielęgniarskiej w Zurychu.

Zapisy na kursy pielęgniarstwa dziecięcego dla zawodowych pielęgniarek i młodych matek przyjmuje się codziennie od 1-go Września 1824 r. w godz. 6—7 wiecz. w Klinice Chorób Dziecięcych Uniw. W. Litewska 16.

ZŁOT HARCERSTWA

Ośm tysięcy chłopców, 800 dziewcząt wzięło udział w Zlocie.

Są to cyfry imponujące.

Widzieliśmy młodzież tę przy pracy; widzieliśmy świetną organizację, sprawność, umiejętność dawania sobie rady we wszystkich okolicznościach życia; mogliśmy obserwować oddziaływanie wychowania harcerskiego na rozwój tężyzny fizycznej, zdrowia młodzieży jej zręczności i siły.

Nie mógł nam Złot wykazać bardziej wewnętrznych wartości harcerstwa, o które chodzić nam musi co najmniej w równym stopniu, jak o tamte. Czy harcerstwo nasze jest tym czynnikiem etycznego oddziaływania na przyszłe pokolenia Polski, jakim pragnęlibyśmy widzieć je? Na to pytanie Złot nie dał nam i nie mógł dać konkretnych, dostrzegalnych odpowiedzi. Pytanie pozostało otwarte. A stwierdzić trzeba, że poważne siły pedagogiczne, jak również całe zastępy najtroskliwszych i w zasadzie dla harcerstwa najlepiej usposobionych rodziców, wyrażają pod tym względem poważne wątpliwości.

Nim przejdziemy do tych zarzutów, zajmijmy się najpierw Zlotem.

W SIEKIERKACH.

W bok od ulicy Cerniakowskiej, na polach Siekierok, pomiędzy miastem a Wisłą, rozłożył się obóz harcerzy.

Miasto użyczyło placu; poza tem nie poniosło żadnych kosztów. Ministerstwo spraw wojskowych użyczyło namiotów, poza tem jednak Rząd nie potrzebował okazywać harcerzom żadnej pomocy.

Zasada harcerska—samo-wystarczalności została w pełni urzeczywistniona.

Na koszt Zlotu złożyły fundusze poszczególne drużyny już przed kilku miesiącami. Intendentura zakupiła zapasy konserw, mleka kondensowanego, kakao i t. d. Aprowizacja obozu nie pozostawiała nic do życzenia. Po paru dniach przygotowań, stanęło na Siekierkach miasto całe z ołtarzem polowym na wzgórku, ze stacją telefoniczną, pocztą, redakcją i drukarnią „Harców”, sklepami, pełnymi słodczy, pierników, napojów chłodzących, pocztówek, pamiątek Zlotu i t. d. i t. d. z „kinematografem do zdjęć obozowych i w pośrodku z tradycyjnym harcerskim „Ogniskiem”.

Obóz otoczono drutem, rozstawiono warty, i oto pierwszy ogólnonarodowy Złot harcerzy polskich miał gotową siedzibę i gotów był na przyjęcie gości zagranicznych.

Nie wdając się w opisy uroczystości, zawodów sportowych, zabaw i ćwiczeń, które wypełniły kilka dni Zlotu, a znane są czytelnikom ze szczegółowych relacji pism codziennych, kładziemy nacisk na te wszystkie momenty, w których silnie odciska się wychowawczy wpływ harcerstwa.

Nikt nie mógł być dalszy od życia, jak młodzież, wychowywana w szkołach rosyjskich. System to był świadomie i celowo przeprowadzany. Zarówno degeneracja fizyczna, jak zacieśnienie widnokęgów umysłowych, jak obniżanie poziomu duchowego i odsuwanie od życia wchodziło w program tej najgorszej ze wszystkich szkół na świecie.

Dziś więc, zwłaszcza dawny zabór rosyjski, patrzeć winien z największą radością na te zastępy młodzieży, chowanej tak całkiem inaczej: w słońcu, swobodzie, zetknięciu z przyrodą, z życiem, zaprawionej od dzieciństwa do organizacji, do zbiorowego wysiłku, do szlachetnego współzawodnictwa, mogącej ćwiczyć wszechstronnie wszystkie swoje siły i zdolności. Daje im to w pewnej mierze szkoła dzisiejsza, nasza własna szkoła, ale w wyższym daleko stopniu — harcerstwo, i gdyby dawało tylko to, warto byłoby poświęcić mu najlepsze siły społeczne.

W ŚWIDRZE.

Jeszcze bardziej interesującym dla czytelniczek „Bluszczu” był żeński obóz harcerski w Świdrze.

Rozłożony po obu brzegach wartkiej, lecz płytkiej rzeczki, w lesie iglastym, miał wszystkie warunki, pożądane dla obozowiska tego rodzaju.

I tutaj zasada samowystarczalności, ściśle przestrzegana, doskonale dała rezultaty. I tu dziewczęta same rozłożyły namioty, same połączyły oba brzegi Świdra, dość szerokiego w tem miejscu, zbudowaną na prędkę kładką, zaprowadziły w obozie instalację telefoniczną, otoczyły obozowisko drutem i rozstawiły warty. Oczywiście, tak samo, jak chłopcy, gotowały dla siebie przez te kilka dni skromną, ale posilną strawę, zmywały naczynia, sprzątały, utrzymywały porządek w obozie i t. d.

Ćwiczenia, gry, tańce, zabawy wypełniały resztę wolnego czasu.

Atmosfera wielkiej radości życia unosiła się nad tym obozem. „Tu mijają wszystkie przeczulenia, nad—wrażliwości, zdenerwowania, pesymizmy; roztopiają się w słońcu, powietrzu, w swobodnej grze mięśniów. Tu śpi się jednym tchem, tu zajada się z rozkoszą grubą kaszę i wszelkie inne proste potrawy, na które w domu nie ma się nigdy ochoty”.

Tak opowiadała nam jedna z kierowniczek młodzieży harcerskiej, „kwatremistrzyni obozu”, studentka uniwersytetu. Prześliczny jest stosunek tych starszych sióstr do młodszych, nad którymi dobrowolnie podjęły wychowawczy trud. Tyle w nim prostoty, dobroci, taktu i tyle powagi, że ma się wrażenie, iż nikt tam nigdy, dobrowolnie przyjętych prawideł karności, nie łamie.

Dzień, w którym zwiedzałam obóz w Świdrze, był dniem wizyty kolegów harcerzy. I nawzajem, tegoż dnia delegację harcerek przyjmowano w obozie na Siekierkach.

Prześliczny był widok tej szczęśliwej młodzieży, — zasiadającej przy stołach, wykopanych w ziemi, przystrojonych kwiatami, do wieczery, złożonej z czarnych jagód z mlekiem, — roześmianej, rozśpiewanej, upojonej wonią leśną i swobodą otoczenia, a swobody tej nie nadużywającej w niczem.

Zapytałam jedną ze starszych sióstr, jak układają się stosunki między chłopcami i dziewczętami, czy mają one ten prosty koleżeński charakter, tak pożądany w stowarzyszeniach tego rodzaju.

„Jeśli chodzi o prowincję, można zupełnie śmiało odpowiedzieć: tak! — brzmiała odpowiedź — ale Warszawa... Warszawa tak przedwcześnie rozbudza...”

W obserwacji tej brzmi ważna wskazówka dla wychowawców. Usuwajmy młodzież z wielkich miast, jeżeli chcemy wychować ją w zdrowiu moralnym i fizycznym. Nie dajmy jej oddychać atmosferą perfum, malowanych ust, ognistych spojrzeń, przejrzystych sukienek, jaskrawych śmiechów, brukowych skandali, atmosferą szampańskiego szału wielkiego miasta. Nie rozbudzajmy przedwcześnie zmysłów. Żaru lata nie rzucajmy w ciżbę i spokój wiosny.



Międzynarodowy kongres kobiecy w Ameryce

Ostatnie czasy powojenne bardzo wzmogły potrzebę zbliżenia się poszczególnych narodów Europy i Ameryki, z powodu powstania wielu wspólnych interesów, dążeń i wspólnych humanitarnych celów, gdyż anormalne warunki wojny wykazały, jak wiele traciła ludzkość przez poszarpanie więzów międzynarodowych.

Czy będziemy rozpatrywać tę sprawę z punktu widzenia interesów gospodarczych lub technicznych, które przez zamknięcie granic państw tak bardzo wstrzymały rozwój handlu i przemysłu, — czy spojrzymy pod kątem szerzenia nauki, oświaty i sztuk pięknych lub innych zagadnień, należących do podstawowych czynników rozwoju kultury, — wszystkie one przemawiają za koniecznością zbliżenia się współzycia narodów dla obopólnych korzyści i dla wspólnego dobra.

Najwyższym wyrazem tego „dobra“ będzie zrozumienie, że w obecnym stanie cywilizacji świata powinny przestać istnieć barbarzyńskie wzajemne mordowania się narodów, tylko dla tego, że nie są zdolne, że nie mają sposobów innego załatwiania nieporozumień politycznych lub ekonomicznych. Ostatnia wojna, która była nie tylko na polach bitew, ale i pod ziemią, na morzu i pod wodą, w powietrzu, z nikczemnymi gazami trującymi i w przestworzach powietrznych z areoplanami, rzucającymi bomby na spokojną ludność i na dzieci... ta wojna ta powinna być naprawdę o s t a t n i ą wojną.

Nic więc dziwnego, że po tych przeraźliwych kilkoletnich niszczących barbarzyństwach, staje z sztan-darem pokoju w ręce — kobieta — tworzy potężną organizację, obejmującą dziś czterdzieści narodów świata — i woła: jesteśmy matkami ludzkości! rodzimy wśród cierpień i miłości macierzyńskiej i pragniemy, jako siła twórcza — szczęścia, dobra i miłości. Żądamy nowego międzynarodowego współzycia“.

Dla przygotowania pokojowego planu działania, dla zapoznania się z obecnym chaosem życia powojennego, dla rozpatrzenia przyczyn wojen i ich nieobliczalnych złowrogich skutków, zwołany został IV Kongres „Międzynarodowej ligi kobiet pokoju i wolności“ do Waszyngtonu na 1 do 10 maja b. r. — Tym razem wybrano Amerykę, gdyż w Stanach Zjednoczonych skupiają się na horyzoncie politycznym złowrogie chmury w kierunku Japonii, z którą zatarg na tle ekonomicznym mocno niepokoi pacyfistycznie usposobioną część amerykańskiego społeczeństwa. Oł, za dużo Japończyków najeżdżało się do Ameryki; za tanio sprzedają swą pracę, za tanio sprzedają swą wytwórczość — i przyczyna

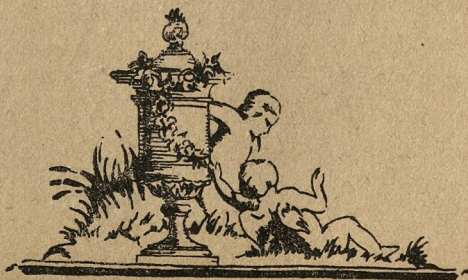
barbarzyństwa gotowa; wybić armatami, poszarpać, okaleczyć, — kto silniejszy i sprytniejszy — ten zwycięży...

Drugą przyczyną, która przemawiała za urządzeniem tego pokojowego kongresu za oceanem, to dążenie do przekonania Ameryki o konieczności przystąpienia jej do Ligi Narodów, — w celu dodania tej wciąż jeszcze słabej i niezdecydowanej organizacji więcej siły, znaczenia i powagi. Te więc tematy, dotyczące międzynarodowego współzycia, i rozpatrywanie przyczyn wojen z punktu naukowego, społecznego, psychicznego i wychowawczego wypełniły 10 dni kongresu, licznie obesłanego przez przedstawicielki trzydziestu paru sekcji narodowych, należących do „Międz. Ligi kobiet pokoju i wolności“.

Kongres odbywał się pod przewodnictwem założycielki i prezeski Miss Jane Adams, wielkiej przyjaciółki zmarłego prezydenta Wilsona, któremu, jako delegatka polska, składałam hołd za 13 paragraf jego nieśmiertelnej deklaracji, wzywającej mordujące się narody do zaprzestania wojny i do jej sprawiedliwego zakończenia przez zmartwychwstanie Polski i innych uciemiężonych narodów.

Rezolucje kongresu nie wszystkie mię zadawałniały i dlatego założyłam silny protest i zażądałam zaprotokulowania mego votum separatum, gdy uchwalono zalecenie komitetu wykonawczego, potępiającego wszystkie wojny i wyliczającego jej rodzaje: zaczepną, odporną, cywilną i cudzą (offensive defensive, civile ou etrangere) — żądałam by nie wyliczano rodzaju wojen i stwierdziłam publicznie, że gdyby na moje państwo znów napadli bolszewicy lub inni wrogowie, znów pierwsza idę na front bronić mej Ojczyzny — tak, jak każdy napadnięty przez zbrodniarza ma prawo obrony własnego życia.

Do mego stanowiska przyłączyło się parę delegatek — ale formułę zaleconą przyjęło większością głosów, gdyż zapalone teoretyczki pacyfistyczne twierdziły, że nigdy nikt się nie przyznaje do wojny zaczepnej — że zawsze każde państwo się tłumaczy, że „się broni“.



Organizacyjny komitet kongresowy amerykański — po za kongresem w Waszyngtonie przygotował wielki propagandowy program — iście amerykański, który obejmował 2 tygodniowe kursa pacyfistyczne w Chicago i zatrzymywanie się delegatek we wszystkich większych miastach po drodze z Waszyngtonu do Chicago i z Chicago do Kanady, skąd z Montrealu był wyznaczony wyjazd do Europy na 7 czerwca.

Choć wyjechałam tylko na kongres dziesięciodniowy, co i tak miało mi zająć z podróżą 6 tyg. czasu, — jednak, zdecydowałam się ulec serdecznemu namowom i prośbom amerykańkanek, które pokrywając wszelkie koszty pobytu i podróży, kładły wielki nacisk, że pragną mieć reprezentację Polski; a ja znów uważałam za swój obowiązek wykorzystania tak niezwyklej okoliczności dla propagandy na rzecz Państwa Polskiego. A ta propaganda jest niezbędną. Trudno uwierzyć, jak śmieszne zadawano zapytania, dotyczące stanu kulturalnego Polski, i to nie tylko „egzotyczne“ delegatki jak Chinki, Japonki lub Induski — ale same Amerykanki, które widać że nie mają żadnej styczności z licznymi koloniami emigracji polskiej lub też że niska kultura, brak oświaty naszych ziomków, tak smutne refleksje nasuwają o stanie cywilizacyjnym Polski. Nasze konsulaty na obczyźnie ani nasza propaganda państwowa nie doceniają ważności dla państwa polskiego przeciwdziałania temu, żeby nas źle nie sądzono, żeby o nas wrogowie nasi nie szerzyli fałszywych opinii: że jesteśmy militarystami, zaborczo usposobionymi; że jesteśmy reakcjoniści, zacofańcy i t. p. różne herezje, które wcale dobrze i przyjaźnie do nas nie mogą uspasabiać — a my jednak przyjaciół na całym świecie potrzebujemy. Nie traciłam więc czasu i działałam dla dobra Państwa Polskiego, a sposobności było bardzo dużo.

Oto specjalnym, wielkim wagonem sypialnym z napisem: „pax speciale“ objechałyśmy, 28 delegatek europejskich i 2 amerykański organizatorki, aż 15 miast, — zatrzymując się po 1—3 dni dla mitingów i oficjalnych przyjęć. Niektóre wiece były imponująco duże, w teatrach lub innych publicznych salach przyjęć, obiadów, różnych delegacji całe masy; wrażeń miliony! Starałam się wykorzystać każdą sposobność, by zetknąć się bezpośrednio z naszymi rodakami i z ich organizacjami społecznymi — o czym tu oddzielnie pisać będą. Ale naogół smutne wywołałam wrażenie co do przyszłości i to bardzo prędkiej — amerykanizowania się naszych rodaków; składa się na to wiele fatalnych warunków... Będąc w Chicago aż 2 tygodnie najlepiej poznałam te „wa-

runki" — a tam istne wielkie miasto polskie — bo aż 400 tysięcy Polaków gromadzi się w jednym mieście. Toż taka liczba mieszkańców, razem zgromadzonych, zajmowałaby u nas pierwsze miejsce zaraz po Warszawie i Łodzi... a tam! smutnie ta polskość i kultura tych Polaków się przedstawia: — barany, a pasterz strzyże z nich wełnę dla siebie.

Wracając do głównego celu tego kongresu, pragnę stwierdzić, że dla nas, dla Polski, ostatnia wojna była zbawieniem, ona nas wyrwała z niewoli, wyciągnęła z trumny, wskrzesiła i odrodziła; — ale i ta niewola, i to przeszło wiekowe męczeństwo było właśnie dokonane zbrodniczą ręką wojny. Wojna rodzi — wojnę i zbrodnie pragnie zadośćuczynienia.

I stało się zadośćuczynienie: jesteśmy wolni! jesteśmy niezależni! i więcej sami wojny nie chcemy! i każdą wojnę zaczepną musimy potępiać i winniśmy łączyć się z ruchem wszechświatowego pacyfizmu, który szuka dróg nowego współżycia narodów.

Dr. med. J. Budzińska-Tylicka.

ROZMYŚLANIA WAKACYJNE

I.

A więc wakacje! Wieś, słońce, zielona trawa, kwiaty, drzewa, cisza, odpoczynek... Wakacje — cel marzeń i tęsknoty całego świata szkolnego: dzieci, nauczycieli, nawet służby — przedmiot zazdrości, zwłaszcza urzędników, którym się wydaje, że głównym zajęciem nauczycieli są wyjazdy na wakacje. Znajoma moja urzędniczka powiedziała mi niedawno: „Mam wstręt do nauczycielstwa, ale staram się o posadę w szkole ze względu na nęcące wakacje“! Ważny i wielce obiecujący bodziec do pracy pedagogicznej! Nie jest to wypadek odosobniony, jest ich dużo, bardzo dużo. Wogóle pedagogów z powołania, z Bożej łaski jest bardzo niewiele. Czyżby Pan Bóg poskąpił nam tego gatunku? Sądzę, że nie. Mamy przecież taką masę nauczycieli wśród szewców, krawców, adwokatów, lekarzy, ostatnio zwłaszcza pojawiły się wybitne talenty pedagogiczne wśród służących (!). Wiedzą coś o tem nasze panie.

Rozminęli się z powołaniem? Otóż to! kwestja skłonności, powołania. Właściwie nikt się o to nie troszczy. Sprawa tak ważna dla wychowania i tak doniosła dla życia jest zupełnie lekceważona. Szkoła się do tych rzeczy nie wtrąca, dom zaś o tyle tylko, o ile chodzi o jakieś ambicje rodziców, o jakieś względy rodzinne, mniej lub więcej utylitarne. Wtedy dochodzi nawet nieraz do ciężkich walk, tem bardziej godnych pożałowania, im bardziej walczący o swe powołanie jest świadomy tego, czego broni. O ile taka walka nie kończy się na zwichnięciu młodego charakteru, kończy się w najlepszym razie niepotrzebną utratą energii. Ale to są wypadki dość rzadkie. Przeciwnie o wyborze „zawodu“ — jakże świetnie dobrano nazwę — „decyduje przypadek, źle zrozumiana karjera, w każdym razie względy czysto zewnętrzne. Znamy dobrze smutne tego następstwa. Większość ludzi spełnia swoją pracę nie tylko bez zapału i zadowolenia, ale z wielkim przymusem i przykrością, a cierpi na tem wydajność pracy zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym.

Znany pedagog amerykański, Dewey, powiada, że zadaniem wychow-

wawcy jest poznać wewnętrzne popędy i skłonności ucznia, stworzyć warunki dla najlepszego ich rozwoju, czuwać i dyskretnie nadawać im kierunek, aby uczynić z nich coś pełniejszego, szerszego, coś bardziej uporządkowanego.

Czy w naszych warunkach może być mowa o tem? Nauczyciel nasz nie ma ani możliwości, ani sposobności, ani — co najważniejsze, chęci poznania wewnętrznych popędów, skłonności i zamiłowania uczniów. Klasy są przepełnione, poza tem przy książkowym i werbalnym systemie nauki, niema ani wspólności pracy, ani tego zbliżenia, bez którego nie może być mowy o poznaniu i wpływie.

„Kto chce psa uderzyć znajdzie kij“ — mówi przysłowie. Naturalnie, że nauczyciele mogliby, gdyby chcieli, ale na to musiałby stosunek wzajemny być zupełnie inny.

Stosunek nauczycieli do uczniów — oto centralne zagadnienie wszelkiej pedagogii i szkolnictwa. Od niego zależy atmosfera szkolna, od niego zależą rezultaty nauki i wychowania. Kto tego nie rozumie, ten jest bezduszną maszyną, urzędnikiem — w najlepszym razie oderwanym teoretykiem, ale nie zna ani psychologii dzieci, ani potrzeb życia. Ten typ nauczyciela nazywa wspomniany już pedagog amerykański „logikiem“ w przeciwstawieniu do typu „psychologa“. „Logicy“ są to wedle niego ci nauczyciele, którzy największą wagę przywiązują do przedmiotu nauki, największą doniosłość przypisują doborowi materiałów w programie. Od ucznia wymagają tylko karności, jego przejawy duchowe: pragnienia, dążności, zainteresowania nic ich nie obchodzą. Przeciwnie zaś „psychologowie“, za podstawę metody nauczania, przyjmują duszę dziecka, „ona jest dla nich punktem wyjścia, ośrodkiem i celem“.

Przyglądając się naszym stosunkom, widzimy, że choć ściśle rzecz biorąc, możnaby naliczyć dużo odmian i odcieni, to w gruncie rzeczy i u nas da się to sprowadzić do dwóch typów. Od owych starego autoramentu „logików“, których u nas nawaćby trzeba raczej rutynistami lub też urzędnikami — aż do przeciwnego ekstremu t. zn. do skrajnych „psy-

chologów“, których u nas nazwałbym przede wszystkim zwolennikami wybujałego indywidualizmu u dzieci — znajduje się bez wątpienia wśród nauczycieli jednostki, które umieją szczególnie godzić wymagania nauki i karności z prawami psychiki młodzieży. Ale jest ich niestety bardzo mało. Głównie obracamy się między dwoma skrajnościami. Co gorsza, przedstawiciele tych skrajnych kierunków pedagogicznych stykają się ze sobą w pracy w tych samych zakładach, dochodzą do konfliktów i starć, a te starcia jeszcze bardziej ich skłaniają do zacięcia się przy swoim.

Znamy dobrze oba te typy: tego nauczyciela zimnego, oficjalnego, pełnego urzędowej powagi, który wymaga od uczniów, aby jak marionetki wydawali zadane lekcje, stosowali się do przepisów szkolnych, byli karni i posłuszni — poza tem ani życie szkolne, ani tem mniej życie pozaszkolne uczniów nic a nic ich nie obchodzi. Znamy także ten typ drugi, dla którego każdy popęd, każdy kaprys dziecka jest najważniejszą „racją stanu“, w dziecku chce upatrywać „małego człowieka“ i żąda bez zastrzeżeń uszanowania jego indywidualności. Zupełny brak przymusu — nieledwie obojętność — bezkarność, daleko posunięta pobłażliwość, rozczulanie się nad każdym objawem prawdziwych czy też udanych uczuć — oto szkodliwe objawy tej źle zrozumianej czy też przesadnie stosowanej metody psychologicznej. I podczas gdy nauczyciele pierwszego typu stronią od bliższego kontaktu z dziećmi, trzymają je w „przypoitej odległości“, by wedle ich zdania nie stracić należytego szacunku i powagi, to ci drudzy znowu dopuszczają je może do zbytnej poufałości, schlebiają ich słabościom tak, że czasami ma się wrażenie, jakby gonili za popularnością wśród uczniów.

Nie trzeba chyba dodawać, że jeśli chodzi o wpływ na młodzież, zwłaszcza na urobienie charakterów, to ani jedni, ani drudzy wywierają go nie mogą. Pierwsi dlatego poprostu, że się z dziećmi właściwie nie stykają, a drudzy, głosząc zupełną swobodę i niekarpowanie, sami tego wpływu się wyrzekają.

(c. d. n.).

K. S.

W Y P R A W A

*Na nagie ciało przeżarte ranami
Zbroję nam przywdziać z szmelcowanej stali,
Ciężki przypasać miecz.—*

*Naprzód!!! — Sto słońc na niebie się pali,
Sto dróg szerokich ściele się przed nami,
Sto dróg pomyka wstecz!*

Od rozstaju się pocznie, od rozdroża — — —

*Na rozgwiezdne biegi dróg
Wtargnie tętent naszych nóg!*

*Szalona — szalona,
Łąką, lasem i polem niesiona,
W piersi łoskotem waląca,
Do nóg pokotem chyląca,
Wieść idzie — wieść — — —*

*Że tylko sztandar wzniesić
Rozchwiejem barwnych płacht,
Tylko pokrzykiem warg
Zagłuszyć jęklivość skarg,
Przydusić o ziem strach,
Oczu błyskaniem rozpalic noc,
Z burzą zmierzyć swą moc —
Och, moc!*

*Niech rośnie i polem rozwiewa się kłótnie
W rozpryskach słonecznych rozświetlony śiew,
Radością rozgłosną rozniesie się śpiew —
Oh — życie — życie!*

*W bycie, niebycie,
W czasie bezliczbie,
W cieśni i ciźbie,
Zatańczym tan
Wojenny!*

*W zachwyty promienny
Migotliwych skier —
Ujmiemy ster!*

*Z szeregiem hufców walących, przez miasta,
Tłumy się łączą i w bezmiar urasta
Pokrzyk stupiersny — — —*

*Po świecie się niesie
Werbel i gwar nocą budzących wiei!*

*Burzą po lesie,
Deszczem po kłosach,
Tęczą w niebiosach
Kreślimy nasz zew:*

Życie — ah — życie!!!

*A tam na czele — półbóg, półzwierz,
Światy tratując i wzdłuż, i wszecz,
Złoto swej grzywy żagwiąc od słońc,
Chmury na strzępy pierściami rwąc,
Leci gryfowych skrzydeł poświstem —
On!*

*Jaśnią promienną boskich swych ocz
Rozcina zwały skłębionych tucz,
Żlebem kamiennym, zboczem urwistem,
Poczwórnych kopyt igrem świetliśtem
On pędzi — On!!!*

*W spiżowodźwiecznych piersi swych dzwon
Wchłonął rozpędu bezmiar i szal,
Tabunny tętent, łomot i cwał!*

*Za nim tupotem radosnych swych nóg
Biegniem bezdrożem — zabywszy dróg — —
Czubów rycernych szumem wieczystym
Za śmigiem kopyt woja ognistym —
W zbrojowym chrzeście, w mieczowym chwycie
Drży — skrzy — i płonie —*

Życie — oh — życie!!!

J. STYCZ.

A T R A M E N T

*Ktoś przy mem biurku siedzi
I pisze — pisze — pisze — — —
Słyszę, jak pióro płynie
Posuwa się wśród ciszy — — —*

*Ktoś drugi z ścian wychodzi
I drze spisane kartki — —
Jaknajwyraźniej słyhać
Szelest rozdarcia warstwi — —*

*Ktoś trzeci wprost z podłogi
Na kark okraciem siada,
Przez ramię mu zagląda
I sens pisanja bada — — —*

*A potem dwóch się śmieje
Skrzeczającym, przykrym śmiechem,
I śmiejąc się, skąd wyszli,
Wsiakają znów z pośpiechem.*

*A tylko ten piszący
Coś jeszcze kreśli, znaczy — —
Aż głowę w dół pochylil
I głośno, głośno płacze — —*

*W tym płaczu się rozplywa
Przemienia i przetwarza — —
I czarnych łez kroplami
Wpada do kałamarza.*

10)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

O, stopki dziecięce, czyż wiecie,
po czyich stąpacie popiołach?...

O, stopki dziecięce, czyż wiecie,
ku jakim dążycie przeznaczeniom?

Dokoła was gra wicher prze-
szłości i przyszłości, muzyka daleka,
a dzień dzisiejszy jest, jako chwila...

Rok zaledwo trwał pobyt Wandy
na pensji klasztornej w Krakowie.

Siostre Klarę, ongi pannę Marię
Malczewską, ciotkę i opiekunkę dzie-
wczęcia, znaleziono pewnego ranka
martwą w samotnej celi. Odeszła śród
nocy dusza, pełna goryczy, grzech
pesymizmu i beznadziejnego smutku
unosząc w zaświaty. Habit Felicjanki
nie uleczył jej ... z rozpacz.

Wpierw jeszcze umarł był pan
O. urzędowy opiekun sieroty.

Stało się więc, iż nie było komu
płacić za koszt utrzymania i kształ-
cenia dziewczynki; odesłano ją za-
tem z powrotem do Gostkowa, gdyż
Sokołowscy woleli ją mieć u siebie,
niż ponosić koszt kształcenia jej w
klasztorze.

Gdy odjeżdżała, mgły ranne bia-
łym tumanem spowiły Zamek i unio-
sła w pamięci widziadło Wawelu wy-
olbrzymione, zawieszane jakby między
chmurami, nieziemskie.

W kilka godzin potem bezkresne
równie Mazowska wzięły ją znów
w wyciągnięte szeroko ramiona swoje.

W Gostkowie zastała Wanda
duże zmiany.

Zamiast korepetytora, który, jak
się okazało, nie zdołał przygotować
chłopców do gimnazjum („udarenje“
nie dopisywało), przyjęto do dzieci
nauczycielkę.

Panna Anna Nowakówna, nie-
wiasta lat czterdziestu, bardzo sta-
nowcza, rozsądna, trzeźwa, przytem
bardzo „postępowa“, jak sama cha-
rakteryzowała siebie, ujęła odrazu
w karby rozhukane dzieci Sokołow-
skich.

Teraz przybywała jej nowa ucze-
nica.

ROZDZIAŁ VIII

POSTĘPOWA
NAUCZYCIELKA

„Młodzi moja, do was dążę,
Pełen wiary lecz i troski,
Bom ja nie niezłomny książek!
Nie Walenrod, nie Beniowski!

W księżycową noc na fali
Ja wam grobów nie otworzę!
Choć kamienne ojców łóże,
Może moja myśl przepali..”

Na czytającą z zapalem nauczy-
cielkę podniosło się z nad kajetu złe,
napastliwe spojrzenie młodych oczu.

— Czy rozumiecie myśl autora?

— O rozumiemy doskonale! On
wyśmiewa się z naszych wielkich po-
etów!—rąbnął Stefan.

— Wyśmiewa się?! Nie. To złe
zrozumiałeś. Raczej możnaby powie-
dzieć, że ostrzega młodzież przed ich
szkodliwym urokiem. Chce ze sfer
nieokreślonej fantazji i nie liczącego
się z niczem uczucia sprowadzić ją na
ziemię, do czynu, do pracy i do wy-
siłku myśli.

Mówiąc w ten sposób tonem
wykładowym, nauczycielka musiała
jednak patrzeć wciąż w zielonawe oczy,
z nienawiścią tkwiącą w jej twarzy.
Oczy te z pod dziewczęcej, rozwichrzo-
nej czupryny, pochłaniające każde jej
słowo, zmuszały do zajęcia się niemi.

Zwróciła się [wprost do nowej
uczenicy:

— A cóż ty myślisz o tym wier-
szyku?

Wanda podniosła się cała drżącą.

— To wcale nie jest poezja! to...

Nauczycielka zastanowiła się.

— Może masz i słusność. Ale
nie o to szło autorowi. Przedewszyst-
kiem jednak chciałabym wiedzieć, czy
znacie te dzieła, o których wspomina,
czy wiecie, co to „Książę Niezłomny“
„Walenrod“?

— „Książę Niezłomnego“ nie
czytałam. Tamto czytaliśmy; daleko
ładniejsze od tych paskudnych wier-
szy—spyał prędko Stefan.

Śpieszyło mu się, bo z za okna
Wojtek, przyjaciel od serca i wszelakich
zbytków, dawał już tajemnicze znaki.

— Któż wam te rzeczy dał do
czytania? Jakim sposobem.

Dzieci tajemniczo spojrzały po
sobie. Książki na strychu... a poza
tem Wandzia przysyłała im z Krakowa
w listach, na cienkim przepisywane
papierze, całe tomy zakazanych po-
ezji, aż przeniknęli ten sekret starsi,
i zrobiła się wtedy wielka awantura
o nieostrożność i narażenie rodziców,
o bezmyślną głupotę i t. d. i t. d. Ale
któżby tam w te rzeczy wtajemni-
czał obcych!

— Mieliśmy to z różnych źródeł—
rzekł poważnie Stefan.

Więc nauczycielka zwróciła się
znów do przerwanej analizy wiersza
Świdzińskiego.

— No a te słowa: „w księżycową
noc na fali ja wam grobów nie otwo-
rzę“ czy zrozumiałe dla was, czy wie-
cie, do czego są aluzję?

Starsze dzieci milczały.

— On myśli o „Przedświcie“ —
rzekła ponuro Wanda.

— A tak prawda! To o „Przed-
świt“. Ale ja „Przedświtu“ nie lubię.
To nudne!

Uśmiechnęła się nauczycielka.

— Ty prędko się załatwiasz
z oceną arcydzieł. A czyż ten
„Przedświt“?—zwróciła się do Belci.

— Krasieńskiego—odparła cichym
głosikiem najpotulniejsza z uczenic.

— Więc nawet i ta...

— No, dokończmy rozpoczętego
czytania.

Tym sposobem poznały dzieci,
ujęty w rymy, program pracy orga-
nicznej.

— Prawda, że to piękne i mądre
rady?—rzekła panna Anna.

Stefan nie odpowiedział jej tym
razem, zajęty rozmową na migi z Wojt-
kiem; starsze dziewczęta milczały
znudzone, tylko Wandy twarz pło-
nęła oburzeniem.

— Powiedz otwarcie, co myślisz.

— To jest urąganie zwyciężonym!
I to jest wypieranie się Polski.

— Dlaczego? Wytłómacz!

— Ja nie potrafię wytłómaczyć,
ale ja... tak czuję. On mówi z szy-
derstwem o bohaterach, co ginęli
w walce, a radzi, żeby o tem wszyst-
kim, co dawniej, zapomnieć, a tylko
zarabiać na siebie, gromadzić pienią-
dze, wzbogacać się... ja go nienawidzę!

— Aż tak?—uśmiechnęła się na-
uczycielka.—Gdybyś się jednak zasta-
nowiła, musiałabyś przyznać mu dużo
słuszości. Zgadza się, jest to ujęte
zbyt jednostronnie, ale kto chce coś
przeprowadzić w życiu, nie może
oglądać się na strony i nieraz musi
zdeptać kwiat, zranić czyjeś serce...

Panna Anna mówiła to, jakby do
siebie i bardzo smutno.

— Napiszecie mi krytykę tego
wiersza—zakończyła.—Niech każde
pisze szczerze, co myśli; tylko wmyśleć
się trzeba.

Wanda spoglądała na nią zdzi-
wiona i niepokojona.

Szykowała się do walki, a na-
uczycielka uniknęła jej tak jakoś tak-
townie. Panna Anna jest bardzo ro-
zumna—tylko zimna taka i tak trzyma
się ziemi...

Nauczycielka wstała; dzieci zbie-
rały książki.

— A co, czy nie mówiłem, że
„moskiewski duch“—szepnął Wandzi
Stefan.

— Dzieci są bardzo miłe—mówiła nauczycielka do Sokołowskiej;—chłopcy zdolni, ale trochę rozpuszczeni i bardzo zaniedbani w rosyjskim.

— Ach, niech pani na to największy położy nacisk. Już raz obcieli się przy egzaminie i musieliśmy ich zabrać z powrotem do domu. Radzono mi nawet, żeby wziąć do nich Rosjanek, bo akcent mają okropny, ale...

— Mam nadzieję, że zdadzą tym razem, o ile nie będzie specjalnych szykan...

— Ach prosimy panią bardzo. Cóż to za straszny kłopot z tymi chłopcami! A ja tak nie mam zdrowia!

— Dziewczynki są mniej zdolne i trochę apatyczne...

— To z anemji.

— Ja myślę, że za mało mają ruchu i zanadto ściskają się gorsetami.

— Niech pani będzie łaskawa chodzić z niemi na spacer. Ja nie mogę, pani sama widzi. Zamęcza mnie migrena!

— Pod pewnym jednak względem — ciągnęła p. Anna, mało zwracając uwagi na skargi p. Eweliny — dzieci te, mają, że użyję prostego wyrażenia, jakby poprzewracane w głowach. Za dużo już czytały i niepotrzebnych rzeczy, wyrobiły sobie jakieś niedorzeczne poglądy... ktoś ma na nie niedobry wpływ.

— To Wanda.—rzekła posępnie Sokołowska.

— Jakto, ta mała?

— Czyż pani nie zauważyła, że moi chłopcy słuchają jej jak wyroczni, a to takie dziwne, nienaturalne stworzenie!

— Nienaturalne!—zawołała panna Anna—ależ ona jest prosta i szczerą, jakby bezpośrednio wyszła z łona przyrody!

— Może się źle wyraziłam — odrzekła Sokołowska z niezadowoleniem w głosie.—Jest napewno nie normalna... szaleństwo ma we krwi...

I przyciszonym głosem opowiadała nauczycielce o pochodzeniu Wandy,

głęboko sięgając we wspomnienia przeszłości. Panna Anna słuchała z zainteresowaniem i odpowiedziała całym uczonym traktatem o dziedziczności, który bardzo zmęczył panią Ewelinę.

— Ach ileż, ileż kłopotu z temi dziećmi!

— Napiszcie dziś ćwiczenie bez tematu... ot tak, co komu przyjdzie do głowy...

— O, my tak nie potrafimy — zaprotestowały starsze dziewczynki.

— A my napiszemy same głupstwa!—zawołali chłopcy.

— A ty?

Wandia skinęła głową.

— Spróbuję.

I w wyznaczonym terminie, błada ze wzruszenia, podała nauczycielce kajet.

Panna Anna przejrzała go, zauważyła rymy, zauważyła, że zeszyt cały był zapisany.

— Długiel!—rzekła. — Wezmę to do siebie i przeczytam wieczorem. A wy?

Zamaszyście podał jej Stefan swoją robotę. Tytuł był: „Jak będę polskim żołnierzem“... i pod tytułem kilkanaście zaledwo wierszy.

Ignas nie chciał oddać swego zeszytu, miał go w ręku i mówił, że się wstydzi. Belcia i Manusia nie napisały nic, bo nie wiedziały co...



Wieczorem czytała nauczycielka:

„Jak będę polskim żołnierzem, będę bił Moskali, Niemców i Austriaków. Ja będę bardzo odważny. Nigdy nie ucieknę z pola bitwy. I co tu pisać więcej. To jest najważniejsze. Więcej nie mam nic do powiedzenia.

Z uszanowaniem
Stefan S“.

Zaś Ignas napisał:

„A ja to nigdy żołnierzem polskim nie będę, bo tak mi się zdaje, że umrę już niedługo. Śmierci się nie boję, tylko że mi trochę żal mamy i jeszcze żal mi, że się nigdy nie ożenie z Wandzią.“

Biedaczek sepleniał trochę i jak mówił, tak pisał.

Nauczycielka zadumała się.

Dziwne te dzieci! mówi przez nie przeszłość, a może i przyszłość daleka... Z obowiązku podkreśliła błędy ortograficzne... i wzięła kajet Wandy.

Tyle wierszy!

Panna Anna nie lubiła wierszy. Trzeźwy jej umysł i prawa dusza brzydziły się wszelką przesadą i sztucznością, a poezja, nawet ta największa, była w jej oczach przesadą.

Cóż dopiero jakieś niedowarzone majaczenia egzaltowanego dziecka. „Poemat“ był w dodatku długi i fantastyczny. Tytuł brzmiał: „Duch powstańca“.

Romantyzm w najgorszym gatunku... — powiedziała sobie panna Anna i z westchnieniem wzięła się do pracy.

Rękopis był trochę nieczytelny, ale zrozumiała treść, mniej więcej tak:

Na szubienicy kończy się ziemski żywot powstańca. Duch jego przenika w krainę niewidzialnego. Tu zaczęła czytać uważniej. Jest świt, gdzieś w Tatrach. Z dolin i gór, krynic i limb wynikają duchy — mieszkańce; błędne ogniki, mgły, echa, powiewy górskie i t. d. i t. d.

— Szaloną wyobraźnię ma ta dziewczyna! — pomyślała nauczycielka.

Duch powstańca wita ten świat, niby z dawna sobie znajomy.

(c. d. n.).

ZUZANNA RABSKA

3)

DOBRY PASTERZ

N O W E L A

Gdy ślepy dziadek zrana zapukał do okna, podała mu z uśmiechem talerz kaszy suto kraszonej, a pątników, powracających z wotywy, pozdrowiała bez gniewu. W szklance na stoliku przy łóżku chorej pojawiły się kwiaty...

— Dobra jesteś, Justynko, strasznie dobra... — wyszeptała wzruszona Monika, wachając kwiaty i głaszcząc

białymi palcami ich płatki tak, jak wyprostowywała nitki na haftach.

I aż ją przeraziła w tej chwili piękność siostry, a w uszach zadzwoniły słowa mistrza Grzegorza: „Jakżeby piękną była Justyna, gdyby była dobra, dobroć przychodzi zawsze razem z miłością... Dobrą będzie Justyna, gdy kogoś pokocha“...

Leżała z przymkniętymi oczami, jak święta z białego sarkofagu z bocznej nawy katedry, przy której modliła się tak często. A dobry Bóg haftował jej dziewczęce marzenia srebrem i złotem, a serce jej zdobił purpurą i do rąk kładł lilje mistyczne.

— Śniło mi się dzieciątko z czarnymi oczami, białe dzieciątko... — zwierzała się siostrze.

Justyna parsknęła śmiechem. Zabawne były te wieczne Moniki sny o dzieciach. Dobrze, dobrze, już o tem nie wspomni nigdy przy mistrzu Grzegorzu.

Monika miała spuszczone powieki, a na twarzy krwawy rumieniec.

* * *

„Dobry pasterz” miał już na atłasie podmalowaną słodką twarz, z uśmiechem nieco smutnym. Monika zobaczyła sztandar z daleka, budząc się ze snu.

— Czy tu był mistrz Grzegorz? — spytała bardzo cicho z lękiem i radością w sercu.

— Nie. To ja byłam u niego. Biskup przysyłał po sztandar już dwa razy kleryka, gdy byłeś chora. Trzeba się śpieszyć.

— Tyś była u niego? — powtórzyła Monika bezdźwięcznie. I zmartwiało w niej serce.

— Tak. Mieszka przy samym cmentarzu. Z okna widać śliczne, białe grobowce i można nawet odczytać na nich napisy. Dokoła grobowców kwitną anemany, tulipany, róże. Przez wysoki mur cmentarny tego widzieć nie można, ale z okna, w którym mistrz Grzegorz maluje, widać wszystko jak na dłoni...

Monika milczała.

— Z bliska te kwiaty wyglądają jeszcze piękniej. Powiedział mi, iż nasze haftowane kwiaty, to jest moje i twoje, są jeszcze piękniejsze od prawdziwych, że widział raz u nas róże czerwone.

— Byłście razem na cmentarzu? — przerwała Monika cichutko, nie podnosząc powiek, tak blada, jakby za chwilę miała umrzeć.

— Tak. Wczoraj i dziś. Mistrz Grzegorz mówił, że nigdzie tak się nie kocha życia, jak na cmentarzu, na którym kwitną kwiaty. Mówił, że chodzi na cmentarz, ile razy dokończy jakiegoś dzieła i czuje się tak szczęśliwy, że ze swoim szczęściem poradzić sobie nie może, poprostu udźwignąć go nie jest w stanie...

Zbliżyła się do chorej i, delikatnie, jak tego nie uczyniła jeszcze nigdy w życiu, poprawiła jej głowę na poduszce.

Wtedy Monika dostrzegła na palcu siostry pierścień z rubinem, którego nie знаła. Rubin płonął czerwonym, ponurym blaskiem, jak krew.

* * *

Powoli powracała Monika do zdrowia. Krosty z twarzy odpadły. Siadała już na łóżku i, klęcząc, odmawiała poranne i wieczorne modlitwy. Przez okna napływała poczęła wiosna, a potem rozzłocene, dyszące upałem lato. Katedra wypełniona była pieśnią organów, jak muszla szumem. Do Bożego Ciała było jeszcze dwa tygodnie.

Justyny całymi dniami nie było w domu. Nawet nieraz zabierała ze sobą jakiś haft i znikwała na parę godzin. Ciągłe się śmiała albo nuciła nawet wtedy, gdy opowiadała o swoich przechadzkach po cmentarzu wśród białych grobowców i kwiatów.

Monika patrzyła na jej pierścień, to na swoją rękę i milczała.

Trzeba jednak było poważnie pomyśleć o hafcie dla biskupa, który rozstrzepanej Justynie jakoś całkiem wyszedł z pamięci. To sobie go rób sama, jak chcesz! — wołała, wybiegając i trzaskając drzwiami.

Wieczorem, zostawszy sama w pustej izbie, Monika zwlekła się z łóżka. Była jeszcze bardzo słaba. Rozpięta haft na krosnach. Ręce jej drżały. Bała się, iż odpadną za chwilę, jak płatki białej róży. Przy bladym świetle zakopconej lampy pochyliła nad nim głowę. Czyżby to był on — Dobry Pasterz, ten, co mówi: „Jam jest on, dobry pasterz, dobry pasterz duszę swoją kładzie za owce”. Nie, to był mistrz Grzegorz. Z atlasu patrzyły w Monikę czarne jego oczy, bieliła się na kremowym tle jego twarz. Usta rozchyłał pół-smutny a słodki uśmiech. To on! To on!

Opuściła głowę na ręce i rozpłakała się.

Takiż to był ten jej cały sen o szczęściu i takież prawdziwe były jego słowa, że szczęśliwy, co spędza życie swe wśród róż, burzom daleki! Zdrada! Zdrada!

Wszystko zdradą jest na świecie: siostra podstępnie zdradza siostrę, kochanek kochankę, prawa ręka, gdyby mogła, zdradziłaby lewą. Podstęp jest wszędzie.

Słodkie serce Moniki wypełniła po brzegi gorycz.

Grymas jej ust uczynił ją podobną do pięknej siostry, ale do tej dawnej, chmurnej Justyny!

Powoli opanowała ją złość. Czyż nie złość zwyciężyła w oczach mistrza Grzegorza? Dobrą wybrał czy też złą? Złość pociąga, złość kuszy. To tylko ułuda, iż pięknu potrzebna jest słodycz. „Jakżeby piękną była Justyna, gdyby była dobrą” — dzwoniło w uszach Moniki. Uśmiechnęła się z goryczą, a uśmiech jej przypomniawszy dawne, złe uśmiechy Justyny.

„A więc dobrze! A więc dobrze!” — zacinęła się, zagryzając usta i nawlekając długą, długą ponsową nitkę. Za ból bólem trzeba płacić. Będziesz cierpiał, będziesz cierpiał za mój ból i krzywdę, zapłacisz swoim cierpieniem.

Nakłóła igłą wargi uśmiechnięte i zatrzymała się przerażona. Ale krew nie pokazała się tak odrazu, jak sądziła. Nakłówała więc usta dalej, zaciągając nić przy nitce, naprężona cała w uczuciu strasznego żalu, a zarazem złej uciechy. Jeszcze jeden ponsowy ścieg — ostatni! A teraz długa, długa różowa nić — bo trzeba nią zaciągnąć policzki, nos i powieki. Dyszała ciężko, płacząc, gdy nić się rwała, i rozplatając ją mokrymi od łez palcami. Dobierając szafirowej nitki do źrenic, zlekła się, że przekłówszy je, pozbawi wzroku pasterza, uczyni go ślepcem, podobnym do starożytnego z miseczką ze schodów katedry. Ale i ten lęk został przezwyciężony. Czoło, oczy, nos, usta — wszystko uwy pukłało się, zaokrągliło, łudziło pozorami życia. Jeszcze parę nakłóć na skroni jedwabiem błękitnym w tem miejscu, gdzie się rozwidlają drobne pod skórą żyłki. I jeszcze, i jeszcze. Cóż to za rozkosz móżdżku zadawać ból, móc cierpieć, ból zadając! Zagryzła usta, bo i jej samej udzielił się ból, który zadawała z taką rozpaczą, z taką złością w sercu.

Skończone!

(c. d. n.)

3)

MARJA GROSSEK-KORYCKA

E M I L V E R H A E R E N

U wszystkich ludzi fantazja buduje świat, piękniejszy od rzeczywistości — u Verhaerena dzieje się na odwrót. Jego rzeczywistość jest tak szlachetna! — wyidealizowana nawet w tem, co pięknem być nie może, przez zhyperbolizowanie, osiągające majestatyczność. Natomiast ponura jego fantazja spędza korowody zmor

przeraźliwych, grotesków czarcich, które natrząsają się nad nami i dręczą nas.

Najlepsze utwory fantastyczne Verhaerena syntetyzują w symboliczny obraz lub symboliczną historję heroiczne wysiłki ludzkości — często kroć beznadziejne. Tutaj należy Dzwonnik, dzwoniący na wieży

swej, ogarniętej pożarem, aż dzwon obrywa się z belką zwęgloną i staje się jego mogiłą. Tutaj należy Przewoźnik z zieloną w zębach trzcina, płynący przeciw prądowi... Jedno wiosło pękło mu odrazu, i wiatr je poniosł do morza. Ogniste źrenice okien i cyferblaty wież wysokich pa-trzą wzdłuż brzegu na jego wysiłki

i zażartość... A ta, co go do siebie przyzywała, we mgle i wyciu wichrów co raz to dalej załamywała ręce, z rozpaczą wyciągnięte ku temu, co się nic ku niej nie przybliżało...

Dużo jest w Verhaerencie z Victora Hugo. Jest tak samo exubérant, patetyczny, hyperboliczny, przeładowany autytezami. Niepodobna go zaliczyć do żadnej szkoły, jak Goethego, który jest klasykiem w Ifigenji, romantykiem w 1-ej części Fausta i w Werterze—nowelistą, psycho-analitykiem w Wahlverwandschaften i w Wahrheit und Dichtung—symbolistą w Wilhelmie Meistrze i w Fausta II-ej części.

Natura Verhaerena opisuje łuk olbrzymi: jest w nim bujna zmysłowość sangwinicznego Flamanda i nerwowo paląca namiętność suchego hiszpana, jest proste, wierne, głęboko kochające serce; natura pierwotna, żywiołowa, idąca za pierwszym popełnieniem — i mądra medytacja pierwszorzędno intelektualisty. Jest ateuszem i duszą głęboko religijną. Najwyższy artyzm spotkał się w nim z mocnym umysłem, z namiętnością myślenia. Nitscheista, ale bez nitscheańskiej nienawiści i ślepoty.—Wstępujący na najwyższe szczyble patosu równie często, jak zniżający się do ostatnich stopni wrażeń i wyrażenia brutalnego. Realista — o chorobliwej fantazji. Delikatny, jak kobieta—podniosły, jak prorok—i karczemny. Dekadent i klasyk. Zaprzeciciel życia, poeta samobójstwa i najczarniejszej metafizycznej rozpacz—i rozkochany w życiu entuzjasta — piewca radości, ale tragicznej! Verhaeren jest symbolistą — ale realizmu. Jest klasykiem romantyzmu i romantykiem dekadentyzmu. W formie jest klasykiem vers-libre'u.

Czy podobna wyliczyć wszystkie sprzeczności, które podały sobie ręce, aby zbudować jego olbrzymią osobistość?! Poeta Mockel nazywa go „poetą paroksyzmu“ — i to jest prawdą! A przecież niczyje może dzieło nie pozostawia po sobie takiego wrażenia pełnej harmonji i równowagi, jak jego! Bo każdy jego utwór, będąc często sam w sobie jakimś ekscesem, znajduje sprostowanie, zmitigowanie swego hyperbolizmu w utworze krańcowo mu przeciwnym, którego wybrzyk jest mu biegunowo sprzecznym.

Dzieła Verhaerena retuszują się nawzajem, kompensują nawzajem swoje uchybienia, każdy dysonans znajduje gdzieś odpowiedni konsonans, w którym się rozwiązuje.

W tej wielorakości jedna jest cecha stała, występująca wszędzie,

jest to absolutna szczerłość, bezwzględna prawda tej sztuki. Verhaeren w swoją poezję wierzy, jak kapłan w swoją naukę.

Ateusz, nie używa nigdy poetyckiego aparatu religji, wzorem innych modernistów, którym św. Franciszek i święta Teresa służą za figurantów do odegrzania teatralnych nastrojów. Verhaeren może poetyzować to tylko, co jest dla niego prawdą.

I w tem podporządkowaniu poezji rozumowi, w tej potrzebie uzgodnienia wszystkich władz duszy ze świadomością, zawiera się klasycyzm Verhaerena. Ale jego natchnienie jest to wizja tak mocna, że materializuje się biały dzień i pozwala sobie dotykać. Widmo to oszukuje rozum. Rozum Verhaerena pije wino poezji i, wpadłszy w święty szal, poetyzuje...

Myśl jego—to geometria z promieni i z brylantów albo gwiazd—i dlatego nie możemy jej odmówić miejsca w poezji, przekonywując się na tym przykładzie, że istnieje piękno myślnych linii. Przyznać trzeba, że poezja Verhaerena jest jednak wybitnie medytacyjna, a nawet ideologiczna. I jednak nas to w niej nie razi. To jej nie tylko nie ochładza, ale i owszem, w tem tkwi jej siła swoista i urok. I nie tylko dzięki stylowi, który obrazuje wszelką abstrakcję, a nawet rozumowanie. Nie tylko dla tego, że wiersz o myśli oderwanej staje się płasko rzeźbionym fryzem, gdzie najbardziej oderwane pojęcia uzmysłowiły się w symbolu.—Ale i dla tego jeszcze, że myśl Verhaerena nie jest nigdy mechanicznie do sztuki włożona, jak obce ciało do szkatułki, aby służyła obcemu celowi; myśl zimna, myśl praktyczna, tak zwana popolicie tendencja. Myśl Verhaerena nie jest nigdy pedagogją, propagandą partyjną, katechetyzowaniem, ani nawet filozofją książkową. Jest to organiczna myśl twórcza, taka, jaka musiała przewodniczyć światu, gdy był stwarzany. Nasycą ją nie filozofją, lecz ten filozofizm, który jest echem filozofji, panującej we wszystkich dziedzinach życia, odbiciem się jej w zwierciadle wrażliwości,



Jeżeli poeta jest jednocześnie mędrcom, a wielki poeta jest nim zawsze — to on żyje swe myśli! I myśli te sączą mu się nieustannie z mózgu do serca przez jakieś takie szczeliny duchowego życia, łączą się tam ze krwią, zapalają się od niej i stają się myślą żywą. Jakże wykluczyć ją ze sztuki, kiedy ta myśl stała się miłością i nienawiścią?! Kiedy ona puściła w sercu korzenie, okryła się powodzią wonnych, jaskrawych kwiatków, na których żeruje pszczoła natchnienia!—Myśli nie trzeba wykluczać ze sztuki—tylko trzeba mieć tę organizację prawdziwie poetycką, która wszystko transponuje na uczucie i fantazję—tak, jak proza, na odwrót, wszystko „bierze na rozum”.

POZYTYWISTA i DEKADENT.

Sprzeczności wrodzone musiały się pogłębić pod wpływem kontrastów życia.

Syn wyjątkowo pobożnej rodziny, wychowaniec O.O. Jezuitów, żarliwie religijny we wczesnej młodości, Verhaeren wszedł w społeczeństwo ultra pozytywistyczne, ateistyczne, — które go do siebie przystosowało. Lecz przystosowanie to nie poszło tak łatwo, jak duchom pospolitym przychodzi.

Są głębokie ślady w dziele Verhaerena przeżytej tragedji metafizycznej i, wspólnie z tyloma wielkimi umysłami Francji. „Flamandowie”, zbiór ten możnaby nazwać odzyskanym rajem dzieci natury: gloryfikuje on życie pierwotne, proste i naiwne — zaciszne i ufne — przeszywane jaskrawymi smugami kermessów: jedna ręka trzyma kufel, druga obejmuje kibić obfitą, a nieodporną. Ten raj rubaszno-zmysłowy odkrytym został przez znudzeńców, przesycenych kulturą przerafinowaną, przez bankrutów nadziei metafizycznych, po których następuje śmiertelne zmęczenie.

Oto jest La vachère, wiejska dziewczyna, pasąca krowy:

W nią wcieliła się ociężałość wołów, których spokój zaszklili jej oczy leniwą senliwością. Ta sama siła, która osadza węzły na pniach dębowych, wybuchami krwi powygięła w gwałtowne wypukłości jej ciało. Bujny sok życia ognistą falą tętniąc w jej piersiach, wydyma je i kołysze, jak wiatr chwieje zboża. Południe złotym pocałunkiem zaskoczyło ją pod wierzbami, a sen zawsze ciążył jej powiekom. I gałązki muszczą ją po ramionach i mięsają się z płowym jej włosom.

Śpił...

(c. d. n.)

MARJA DĄBROWSKA

1) SZUKAJĄCY POCIESZENIA

N O W E L A

Do połowy czerwca było niezwyczajnie zimno. Zaś od połowy zrobiły się nagle takie upały, jakie rzadko bywają w żniwa. Ptactwo milczało, i tylko brzęk niestrudzonych owadów rozlegał się w zgorączkowanej zieleni.

Bojąc się nadejścia jeszcze większej spieki, albo znów odmiany, zaczęto na gwałt prać owce.

Nastawiali takich zagród z brzeziny koło dużego stawu i nagnali w nie owiec.

Kotłowały się tam, deptały sobie po nogach, na gwałt chcąc zepchać się i skupić conajszczerzej. Małe jagnięta biegały cierpliwie koło matek. Czyniąc tak, jak starsze, przymykały z całych sił do ich boku i słabowicie kiwały się na swych nożynach, okropnie długich i wiotkich. Owczarz Wityk chodził z rozpostartymi rękoma i mówił do swego psa:

— Zagnej! Zagnej! Zagnej!

— Sam jom wegnej. Weź jom ta ha!

— Weź go, tryka.

Pies, duży biały szpic, bez imienia, poglądał sprytnie na pana, rzeżał z zapалу, kopał tylnymi nogami łąkę, aż trawsko wzlatywało, szczeżał wysoko w powietrze i zaganiał owce bez żadnej omyłki rozumnie, jakby chłopak.

Owczarz Wityk był do głębi serca podniecony.

Nie lubił tego wszystkiego. Cierpiał strach razem z owcami i to że im zaszkodzi, to że im tak zakłócają ich dobrośliwe życie.

Jednak działało się dalej, według potrzeby. Przyszli ludzie i wkraczali do wody, na której leżały cienie wierzbowych drzew.

Oznajmiali, gdzie naszli piach, gdzie nastąpili na kamienie, a gdzie jest szlam i gdzie głębia. Staw ruszał się, cofał, odchodził i szperał wodami po brzegach.

Wnet wszczął się ten szalony hałas, jaki panuje zawsze nad folwarkami, gdy piorą owce.

Owce śpiewały — Beee! Bie-eel! Mee-e! Bueee! Bueee! — wołały różnie, chrapliwie i melodyjnie, a jagnięta krzyczały, jak ludzkie niemowlęta.

Wityk ryczał:

— Nie z ty bierz! Nie z ty bierz! Zawrzyj! Zawrzyj, zło krew, bo mi jagnięta wypuścisz.

I biegał wkoło zagród, a owce strachały, się ludzi i wszystkie razem, jak jedno wielkie runo, mające tysiąc nóg, tłoczyły się w coraz to inny kąt swego wąskiego więzienia.

Wityk był szalenie chudy. Można by pomyśleć, kto patrzył, że to same parcie spodnie i szara koszula miały się od wiatru tędy i wszędy.

Lecz krwi w nim było dość, bo twarz mu płonęła od krzyku — niczem wiśniata róża.

Nagle wszystko cokolwiek uciхло. Czuć było tylko duszny zapach mokrej wełny, a woda pluskała i chłastała.

Pan się pojawił naprzeciwno, po drugiej stronie stawu, cały biały w swym kitlu.

Skarbowana woda wydłużyla wnet i pokrajała jego odbicie, iż podeszło aż do ludzi i tu im się u kolan zniwoczyło. Więc znów takie same krzyki:

— Skopy! Skopy!

— Skopy! — Puść jom!

— Nie moczajta im pysków!

— Dowe! Dowe!

— Bierz jom! Bierz jom!

Najmilej było, że się w tę gorącą stało we wodzie.

Nie jeden ruszał się niby gwoli roboty i też wrzeszczał, a w gruncie brnął sobie dla niczego coraz dalej w głębie modrą od niebiosów i tak mu było miło, jak mu ta woda zimniuchną krawędzią wznosiła się do kolan, po biodra, do samych żebrów. Odziewku nic nie żałowali.

Dwóch brało owce i ciągało je po takich deskach do wody. Barany brali za rogi, dziwiąc się, jak zawsze bywa, że siedzą twarde i nieżywe w tym ciepłym łbie.

W wodzie szarpali je i szorowali, dysząc, a one pobekiwały przerywanym głosem, a potem biegly zachłyśnięte, ociekające, nieprzytomne przez pustą zagrodę.

W dwa dni wszystkie były zeprane. Woda się teraz ugrzewała pod słońcem szara i zmaczona, ale już równiuteczka.

Łąkę nad stawem owce zmoczyły tak, że rozmiękła trawa zaczęła na tych miejscach pod płomieniem słońcem żółknąć i gnić. Brzeg wody zbył się chwastów i twardniał, po-

dziobany w dołki ludzkimi i owczymi stopy.

Zaś owce strzygli teraz w stodołę za okólnikiem.

Wityk znów się umęczył i ugrzał do siódmego potu — zły taki, że mu ręce latały, że siniał i tracił dech. Na niego padało wiązać owce do strzyży, a tak mu było stworzenia żal, że aż tupał.

Zgnębione owce, leżały tedy każda między nogami dziewczki albo parobka — bo brali tam i młodszych ręczniaków do cięcia wełny.

Ludzie siedzieli na klepisku, a stado kłębiło się w pustych sąsiekach.

Upał był, aż prało; a kto podniósł głowę, widział za wierzejami, że w głębokości płowych z gorąca niebiosów czyni się, jakby nad horyzontem kwitły blade róże. A były to obłoki, zwiastujące, że będzie grzmiało.

Nożyce szczękały i ciachały, wielkie, czarne i płaskie. Ludzie, wierzchem dłoni odrzucali zesuujące się runo. Niekiedy rozmawiali, aż słycać było wszędzie, i lekkie echo dźwięczało po podwórzu, odzywając się szczególnie mocno z pod kręgów żelaznego walca, rdzewiącego pod szepą.

Niekiedy cięte owce beczały z obrzydzeniem, podnosiły głowę i usiłowały spojrzeć, co się też z niemi dzieje. Lecz składały ją zaraz na czyjemś kolanie, albo na ciepłym klepisku, przymykając znużone oczy.

Ktoś westchnął, mówiąc: — tak to, tak na tym świecie.

A jedna dziewczyna zaśpiewała:

Żeby te kamienie na polu nie były,
żeby się sieroty na świat nie rodziły —
bo chto idzie drogom, kopnie kamień nogom,
tak i mnie tyż teraz sierotę ubogom.

I każdy poczuł się sierotą, strzyżoną przez niepojęty los..

Też się i to skończyło.

Owce chodziły białe i wysmuknięte, piękne.

Wityk, miawszy z niemi za swoje, przyznawał ninie, że im do rzeczy lekuchnym i czyściuchnym.

* * *

(c. d. n.).

W następnym dodatku powieściowym pisma naszego rozpoczynamy druk przekładu nowej, przepięknej, oryginalnej pełnej dowcipu, słonecznej w ujęciu swego tematu, powieści angielskiej p. t. „CZAR KWIETNIOWY” (THE ENCHANTED APRIL) pióra anonimowej, mimo to bardzo znanej, zarówno w Anglii, jak z wielokrotnych na różne języki przekładów — i po za jej granicami, autorki „ELŻBIETY i JEJ NIEMIECKIEGO OGRODU”; VERY (znanej i u nas z tłumaczenia); „PRYGÓD ELŻBIETY NA RUGJI” i t. d.

Krytycy angielscy, zgadzają się jednogłośnie niemal, że „CZAR KWIETNIOWY” stanowi punkt kulminacyjny dotychczasowej twórczości utalentowanej powieściopisarki, dlatego też pospieszliśmy zdobyć dla „Bluszczu” świetlany ten prawdziwie utwór.

(REDAKCJA).

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 26)

HR. TERESA CONFALONIERI.

Była tak bardzo kochającą żoną, że jej piękna i mężna indywidualność zanikła prawie, rozplynęła się w orbicie burzliwych losów sławnego i nieszczęśliwego małżonka. Zato ktokolwiek w historii Włoch odrodzonych napotka niepowszednią, renesansową iście postać hr. Fryderyka Confalonieri, społecznika i konspiratora, musi zauważyć obok wytwornej głowy lombardzkiego patrycjusza wdzięczny profil jego żony: towarzyski w całym znaczeniu tego słowa, wiernej w doli i niedoli, miłującej do grobu i poza grobem.

Legenda i historia otoczyły imię Confalonieriego aureolą wielkiego i dostojnie znoszonego cierpienia. Zapamiętano mu na zawsze chwilę, gdy potrafił, jako więzień bezbronny, stawić czoło wszechwładnemu i przebiegłemu Metternichowi.

Z drugiej strony złośliwe paszkwile szarpały jego dobrą sławę i powtarzały fantastyczne plotki.

Teraz źródłowe badania, oparte głównie na olbrzymiej korespondencji Confalonieriego i osób mu bliskich, wyjaśniają zawiłe nieraz dzieje i — jak to często bywa! — prawda jest zawsze najpiękniejsza!

Jeżeli w postaci hr. Fryderyka okazuje się wiele ludzkich słabości, błędów i niekonsekwencji szlachetnego bezsprzecznie ale dziwnie skomplikowanego charakteru, to postać pani Teresy olbrzymieje poprostu i dosięga idealnych wyżyn dobroci i pobłażania, jakie, niestety, tak często na próbę wystawiał ukochany mąż. I żadna fantazja poetycka nie dorówna dramatyczności prawdy, odtwarzającej dzieje tych dwojga dusz, które dopiero na samym dnie nieszczęścia odnalazły skarb utracony: miłość; dusz obcujących z sobą najściślej dopiero wtedy, gdy ich ziemskie powłoki rozdzielił nieodwołalnie okrutny los.

II.

Kiedy Teresita Casati poślubiła w dziewiętnastym roku życia starszego o rok od siebie hrabiego Federica, najstarszego syna magnackiej rodziny Confalonierich, zazdrościły jej wszystkie rówieśnice. Pan młody był piękny i interesujący, jak bohater najmodniejszego romansu. Nad wiek poważny, pięknej postaci, silny, smukły, miał oczy uroczone, o których wiersze pisali poeci, mieniające się całą skalą barw od srebrnego szafiru aż do aksamitnej czerni, głębokie, jak noc południowa, oczy, co umiały całować i pieścić spojrzeniem, a czasem rzucały błyskawice lub mroziły stalowym chłodem. Zarzucano mu jednak, że był fanta-

styczny i uparty, skryty i żadnemu wpływowi nie ulegający. Chyba niezwykle gorąca miłość mogła skłonić kapryśnego i popsutego przez kobiety młodego patrycjusza, aby poświęcił swobodę, którą, zda się, cenił nade wszystko i związał się z panienką skromną, wychowaną w klasztornej zaciszu, z rodziny zacnej wprawdzie



TERESA CONFALONIERI

i szanowanej, ale bez pretensji arystokratycznych. Hrabia Witaliano, ojciec Federica, stary dworak, szambelan niegdyś jego Cesarskiej Mości Józefa II-go, drwił sobie zlekka z mieszczańskich cnót i parafjańskiego patriotyzmu rodziny Casatich. Byli tacy, co utrzymywali, że młody hrabia ożenił się właściwie na przekór ojcu, aby zmanifestować niezależność swej woli.

Stary magnat marzył dla syna o jakiejś świetnej partii w sferze wysokiej, kosmopolitycznej arystokracji, któraby mu ułatwiła karierę dyplomatyczną — Federico miał również wiele ambicji, ale myśli jego szły górnijszymi szlakami i drogą wprost przeciwną marzeniom ojca, bardzo zresztą kochanego.

W jego zuchwałej głowie snuł się już jakiś mglisty a wspaniały obraz niezawisłej i zjednoczonej Italji, co w rodzinie konserwatywnej i austrofiłskiej zyskało mu opinię heretyka i sankiulota prawie.

Babka, najbardziej go kochająca (matkę stracił w dzieciństwie), bała się czego innego, aby ognisty i zmysłowy temperament młodzieńca nie zaprowadził go na manowce, więc kiedy Federico zobaczył na jakiejś dobroczynnej fecie Teresitę Casati i, ujęty jej świeżą, różową twarzą, rozświeco-

ną ogromnymi wesołymi oczami, „czarnymi jak ożyny“, i szczerą ujmującą prostotą obejścia, wyraził się, że to jest panna do innych niepodobna, która mogłaby go przed ołtarz zaprowadzić, babka chwyciła się tej myśli i przeprowadziła szybko swaty. Teresa nie miała matki; macocha, bardzo życzliwa i dobra, ucieszyła się nadzieją świetnego małżeństwa dla swej wychowanki. I tak w r. 1806 młoda hrabina Confalonieri robiła honory w pięknym pałacu medjolańskim i, jak skrzętna gospodyni, zarządzała w ogrodach wiejskich willi nad jeziorem Como. Wielkie nazwisko umiała nosić z godnością, wdziękiem i dobrocią zjednała sobie uznanie „wyższych sfer“, a inteligencją, patriotycznym entuzjazmem i odwagą zyskała wielbicieli w gronie najbliższych przyjaciół męża: działaczy i społeczników. Królewską jej uroda rozkwitła w szczęściu, jak kwiat w słońcu, i mogła być stać się jedną z najświetniejszych gwiazd rozflirtowanych salonów, gdyby była chciała — ale właśnie, że nie chciała. Młoda pani miała wielką wadę i wyleczyć się z niej nie umiała. Była bez pamięci, bez granic zakochana! zakochana we własnym mężu. A niebawem życzliwi obojgu ludzie zauważyli ze smutkiem, że w towarzystwie jedynym może człowiekiem, co nie docenia wartości Teresy, był jej własny mąż. Umysł niespokojny i namiętny, szukający wciąż nowych wrażeń, nasycił się wnet tą prostą, szczerą, zbyt jawną miłością młodej kobiety i zobojętniał. Psuły go zresztą kobiety, ulegające bez oporu jego urokowi, czasem, ironicznie odrzucone, zmieniały się w zjadliwe nieprzyjaciółki, ale nigdy — obojętne. To samo zresztą było i z mężczyznami; Confalonieri miał albo oddanych mu na śmierć i życie przyjaciół, albo wrogów; czarował jednych, odpychał drugich. „Proteuszową naturą“ nazwiego w zjadliwym, choć trafnym, portrecie fantastyczna, podobna zresztą trochę do niego, księżna Belgiojoso.

Były to czasy, uwiecznione przez Stendhala, najweselszego, najbujniejszego życia stolicy lombardzkiej.

Odbudowana przez Napoleona, połowiczna niepodległość obudziła śmiałe nadzieje, a niezaspokoiona, nie dała już się wstrzymać żadną tamą. Gdzieś w kącie szemrała niezadowolona z nowych rządów grupa staroświeckich „austriacantów“, do których liczył się hr. Witalis. Ale młodzi patrioci patrzyli na nich z poitoowaniem, a zarazem stronili również z pewną ostentacją od nowego, świetnego dworu, jaki próbował tworzyć w Medjolanie młody vicekról, pasierb Napoleona, Eugenjusz Beauharnais.

(c. d. n.).

K. Bielańska

2)

KAZIMIERZ ROGALA-KOSIŃSKI

KOBIETA KRAJU WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

*)
日本女
カ
コ
シ
ン
ス
キ

1. Zręczność, naturalność, giętkość oraz pracowitość i odpowiedzialność Japonki od lat najmłodszych. 2. Japonka jako matka i wzorowa małżonka, zdolna poświęcić wszystko dla uczuć. 3. Dobre i wzorowe wychowanie. 4. Świadomość znikomości i osamotnienia. 5. Etykieta. 6. Zależność. 7. Szorstkość męża uważana jest przez Japonki za szczyt męskości. 8. Wierność. 9. Japończycy nigdy nie biją swych żon. 10. Kult obowiązku i subtelność uczuć. 11. Niezwykła usługowość, wesołość i zadowolenie. 12. Ostrożność kobiet japońskich, sprawność i czystość. 13. Wychowanie dało Japonce sposobność do wykazania zalet, które cenią mężczyźni. 14. Japonka jest żyjącą alegorią cywilizacji kraju wschodzącego słońca.

Japonka, obchodząca pamiętkę swych urodzin w dniu święta dziewcząt, przypadającego w dniu trzeciego marca, od lat najmłodszych wystrzega się niezręczności, starając się być zawsze, nawet przy nieoczekiwanych potrąceniach, naturalną i giętką. Ta giętkość fizyczna jest pewnego rodzaju przygotowaniem, jeśli nie do życia moralnego, to przynajmniej do życia przyzwoitego. Japonce, skoro się tylko nauczy używać get (rodzaj sandałów o podeszwach drewnianych lub słomianych), a stopy jej, równie zręczne, jak ręce, uchwycą sznurki łyżew i będą się mogły na nich utrzymywać, wkładają na plecy młodszą siostrę lub brata, obarczając ją w ten sposób odpowiedzialnością za życie drugiej istoty. Nasze jednak dziewczęta pod tym względem nie mają życia szczęśliwszego i swobodniejszego, niż małe Japonki. Ciekawe jest bardzo porównanie ich na przełomie wieku młodzieńczego i dojrzałego: Europejki nie myślą jeszcze wcale o wielkich obowiązkach, oczekujących na nie w przyszłości, ale niepokoją się już tajemnicą uczucia; często niezgrabne, nieśmiałe, czasem wymuszone, prawie zawsze wzorują się na bohaterkach romansów; Japonki zaś mają naturę mniej złożoną, inteligencję ciaśniejszą, wrażliwość uboższą, ale za to są czynne, zręczne, pozbawione udanej nieśmiałości, umiające dać sobie radę w każdym zdarzeniu, przygotowane do przyszłych obowiązków matki i wzorowej małżonki, zdolne do wyrzeczenia się zupełnie wszystkiego, gdy wymaga tego potrzeba uczuć.

Mała Japonka prędko się uczy panowania nad sobą bez wszelkich pięknych i wzniosłych przepisów i bez podniecania wrodzonej

i tak kokieteryj. Nikt jej nie mówi, że trzeba panować nad sobą, ani, że zbrzydnie prędko, jeżeli często będzie płakać—co my zwykle powtarzamy naszym dzieciom. Przedstawiają jej, że dobre wychowanie wymaga, ażeby w obecności rodziców i ludzi obcych nie zdradzała najłżejszego wzruszenia, któreby się im mogło niepododać, albo ich zachmużyć—a co najważniejsze dają dobry przykład. Dziewczynka słyszy tylko wyrażenia uprzejme, a wymówki łagodne. W wyrażonej uprzejmej formułce może się kryć czasami uraza i złość, ale wychowanie japońskie nie zmierza do leczenia dusz, tylko do uczynienia ich znośnymi w życiu towarzyskiem.

Mała Japonka, goniąc za motylkiem i zapraszając śliczny, świecący ten owad do odpoczynku na swej małej dłoni, widzi w nim nie tylko zabawkę delikatną i kruchą, jak np. nasze dzieci, ale bezwiednie sympatyzuje z tem tajemniczym życiem, którego sama stanowi małą część. Buddyzm zastawił na nią swe słodkie sidła, zanim jeszcze zdołała przyjść na świat, w postaci płatków kwiatowych, kory drzew, złocistego snu kamieni, spoczywających na łonie wód brylantowych, szmeru owadów, piosnek, rozlegających się dokoła. Dusza jej, olśniona blaskiem metempsychozy, posiada zupełną świadomość swego osamotnienia i znikomości w wirze dusz, które ją otaczają. Zdaje się wprost niemożliwym, ażeby gdziekolwiek na świecie istniała dziewczynka, tak głęboko przekonana o własnej nicości w stosunku do wszechświata, jak mała Japonka. Nic więc dziwnego, że wobec takiego wychowania zgadza się ona na stanowisko zależne. Etykieta jest w gruncie rzeczy tylko znajomością i zachowaniem stosunków, które łączą ludzi z sobą; ale w ustroju społecznym, gdzie jednostka istnieje tylko względnie do tych, które je otaczają, uzyskuje istnienie osobowe. W Japonii nawet poufałość związków rodzinnych nie mogłaby usprawiedliwić jej nieznajomości, albo zapomnienia.

Od lat najmłodszych Japonka przyzwyczaja się do odczuwania swej zależności, ale jednocześnie nie doznaje żadnej obawy, jak również nigdy nie spoufała się do tego stopnia, ażeby zapomnieć o stosunkach, które ją poddają pod zwierzchnictwo nie tylko osób, ale i rzeczy, przekazywanych całym szeregiem wieków, a świadczących o myśli zmarłych. Japonka przyzwyczajona uważać nieraz szorstkość zaciętą swego męża za oznakę męskości, nie ulega bez wahania nowemu rodzajowi miłości, tak sprzecznemu z panującymi konwenansami. Jednak pomimo to nie tęskni do bicia, gdyż Japończycy, wyraża-

jąc szorstkość względem nich, nigdy nie biją swych żon; sprawia jej jednak przyjemność odczuwać przewagę swego męża, chociażby wyrażoną w sposób brutalny. Należy zwrócić uwagę na to, że poczucie to tworzy niewolników, jeżeli nie jest uszlachetnione jakąś ideą piękności estetycznej i moralnej. Ale i w tym wypadku Japonkę ratuje jej niezwykle subtelna dusza artystyczna i wielki kult obowiązku. A więc przedewszystkiem Japonka jest nadzwyczajnie pracowita: zajmuje się gospodarstwem, wychowaniem dzieci, służy gościom, przyrządza im herbatę, nalewa sake (wódka z ryżu), śpiewa lub gra na koto albo shamisen'ie dla uprzyjemnienia biesiady. I tak od samego rana do nocy pracując. znajduje się wciąż na nogach albo na kolanach, zawsze umiająca dać sobie radę, zawsze niezwykle usługowa, wesoła i zadowolona. Podziwiać rzeczywiście należy, skąd się bierze ta ich żywość, której żadne zmęczenie nie osłabia, ta słodycz, której nie mąci nigdy nadmiar pracy, ta uprzejmość, której żadna obojętność nie mrozi. Słowem należy ona do wszystkich, z wyjątkiem samej siebie.

Europejczyk woli jednak brak skończoności naszych młodych dziewcząt, ich urok nieświadomy siebie, ich entuzjazm, żarliwą pobożność, nawet wiele dziwactw, niż umiarkowaną i bez zarzutu ostrożność Japonki, które im zresztą nie ustępują w prawości i czystości. Podziwiać należy te młode szesnastoletnie dziewczęta, umiające się utrzymać w odpowiednich granicach, nie przekraczając ich nigdy, umiające wreszcie cierpieć i umierać, mając na względzie posłuszeństwo prawom wyższemu.

Ogrody i gaje w całej Japonii stoją otworem; tam młoda dziewczyna może się błąkać bez najmniejszej obawy: nie dotknie jej żaden powiew zależności.

W każdym bądź razie pamiętajmy, że Japończycy nie ujarzmili bynajmniej kobiety, a utrzymując ją jednak na stanowisku podrzędnym, dali jej sposobność do wykazania swych zalet, które cenią bezwzględnie najwyżej, i podłożyli cienie w celu jaknajskrawszego ich uwypuklenia. Zresztą zręczną polityką urzeczywistnili w niej ideał życia ciasnego, ale w wysokiej mierze harmonijnego. Kobieta japońska jest obrazem tego, czym byliby oni sami, gdyby ich płeć nie kazała im uważać oschłości duszy i swobody obyczajów za pewnego rodzaju obowiązek. Wobec tego kobieta japońska z jej naturalnością i sztucznością, połączonymi razem i dziwnie się wzajemnie dopełniającymi, jest żyjącą alegorią cywilizacji japońskiej.

*) Tytuł i nazwisko autora.

NOTATKI Z PODRÓŻY

Trzy dni na Górnym Śląsku
od 7 do 10 lipca.

Celem naszej podróży jest Jastrzębie-Zdrój.

Z Katowic jedziemy ku Orzeszu. Kraj Czarny staje się coraz zieleńszy. Niewielkie lasy, małe tafle wód, nenufarami pokryte. W Orzeszu—zmiana pociągu: wsiadamy do zabawnych wagoników komunikacji miejscowej.—Po godzinnej jeździe — Jastrzębie-Zdrój. — Piękna szosa prowadzi do odległego o pół kilom. osiedla kąpielowego. — W pierwszej godzinie człowiek jest nieco niepewny, zwłaszcza, gdy się dowiaduje, że mieszkań absolutnie niema. Więc—postój z rzeczami na głównej drodze w pobliżu wielkiej bramy klasztornej. — Dużo zieleni,—z boku—las-park zakładowy.

Bezdomnych, przybyłych z Warszawy, więcej — wszyscy z tłumokami czekamy, aż coś się zmieni. Wywiadowcy wracają. Coś się znalazło, nocleg zapewniony.

Jastrzębie-Zdrój leży wśród pagórków Przedbeskidzia, niedaleko granicy czesko-niemieckiej. Góry w dnie bezchmurne zarysowują się na dalekim horyzoncie.

Wysokość uzdrowiska — 230 m. nad poz. morza. Powietrze łagodne. Wogóle łagodność i spokój cechują to miejsce. Willi bardzo mało. Na tłumy kuracjuszków nie liczy się tutaj; rozrywek niema wcale. Główny urok Jastrzębia stanowi olbrzymi park, porznięty pięknymi parowami, wśród których dziko i bujnie rozrastają się krzewy i zioła; na zboczach leżą istne kobierce niecierpków o delikatnych żółtych kwiatach, gdzieindziej pszenice, maliny, paprocie,—na wilgotnym dnie parowów — spireje tworzą biały gaj. Wartość lecznicza Jastrzębia tkwi w sile solanek jodowobromowych i kąpeli borowinowych. Zaledwie od kilku lat zaczęli tu zjeżdżać ludzie z dalszych krańców Polski. Przeciętnie leczy się tu obecnie do 750 osób miesięcznie. Sezon trwa od maja do września włącznie. Ziemia i źródła należą obecnie do braci Wiltczaków.

Jastrzębie oddawna było miejscem leczniczym dla górników i dzieci. I ten jego, że tak powiem, społeczny charakter jest tu najciekawszy. Zakład sióstr Boromeuszek przyjmuje na lato dzieci, które wysyła Czerwony Krzyż i dzieci górników, wysyłane przez t. zw. Spółki brackie; dzieci bywa do 400.

W parę już chwil po przybyciu do Jastrzębia spostrzega się idące ciężko, wsparte na kiju postacie mężczyzn, wyglądających na robotników, czysto, odświeżenie ubranych. Gromadki ich pieszadują w parku, ćmiąc fajki i gwarząc.

Mają tu oni swój wielki dwupiętrowy ładny dom, wzniesiony jeszcze za czasów niemieckich przez t. zw.

Knappschaft,—dziś wysyłają ich Kasy Chorych Związku Górników i Zakład ubezpieczeń społecznych województwa śląskiego. Leczą choroby zawodowe, nabyte w kopalni, reumatyzm, ischias, astmę. Przyjeżdżają na miesiąc. Po miesiącu zjawiają się inni. Zakład może na raz pomieścić 100 ludzi; mieszkają w czystych jasnych pokojach po 2—8. Kąpią się w starych łazienkach parku. Pobyt przynosi im dużą ulgę, wypoczynek i słońce: „słoneczko”, jak mówią.

Zresztą czynią wrażenie, jak wogóle ludzie, mający życie twarde i ciężką niebezpieczną pracę, zamkniętych w sobie, wsłuchanych i wpatrzonych w coś ku wewnątrz. Głos ich pozbawiony jest żywych krańcowych modulacji.

Ślázacy wszyscy — bez względu na stan i zamożność — wydają się opanowani i w jakieś karby ujęci: mężczyźni i kobiety. Duchowe ich barwy są ciche i ciemnawe, jak barwy stroju.

„Powstanie śląskie” stanowi epokę w życiu tego kraju; niema dłuższej rozmowy, przy której do niego by nie powracali. „To było przed powstaniem”, „ony (ten) należał do powstania”, istnieją związki, stowarzyszenia b. powstańców! Powrót polskośći idzie dość szybko: zewnątrz: szyldy, napisy, teatr (13 „Nowa Dejanira” Słowackiego—w Katowicach!), odczyty—wewnątrz: szkoła polska, oczyszczająca z naleciałości niemieckich, dająca wiedzę o Polsce.

Górnik, z którym rozmawialiśmy długo, człowiek, stąpający z trudnością, gdyż chory na ischias, był dobrym typem synów tej ziemi. Zdala od polityki stojący, jakby jej niechętny, mówił językiem zniekształconym przez niemiecką, chwilami jednak jakgdyby otwierał dawno zamknięty skarbiec i wydobywał zeń piękne staropolskie wyrazy i zwroty. „Mowa polska nie jest u nas wyszkolona, bo ta mowa była ukryta”, mówił: „leciwy”—zamiast stary; „słoneczko”, „przechadzka”, „tukaj” zamiast tu. Mówił o pracy górnika, jako o najcięższej, najposłedniejszej i źle płatnej. Istotnie, pracując 4 dni w tygodniu, zarabiają przeciętnie 100 złotych miesięcznie. Wysilając się bardzo, można zarobić 200—250 złotych, „ale to je ponad siły”, „jak kto ma familję, to u na żąda pracy ponad siły”. — Na uwagę, że dzięki nowej gospodarce podatkowej rządu będzie lepiej: „tak, ale tymczasem my wymrzemy”. Raz po raz w takim człowieku wzbiera gorycz przeciw kapitałowi.

W pociągach jeden refren się słyszy: bezrobocie, 3—4 dni w tygodniu pracy; tam fabryki stoją, tu zmniejszo

szono ilość dni pracy. „Wyżyć trudno”, „od trzech tygodni nie pracuję”, mówi okazały robotnik do przygodnego towarzysza podróży. — Emigracja do Francji na Śląsku wzmożona. W Mysłowicach centrala emigracyjna kopalń francuskich wysłała dn. 10 lipca pociąg do Francji z 1300 osobami, przed tą datą w lipcu już odjechało z Mysłowic do Francji 200 górników z rodzinami.

Tak czy owak, zagadnienie pracy staje na „porządku dziennym” dzisiejszego życia—wystarczy być w wagonie i słuchać.

Potęźnie narzuca się ono w wielkich ośrodkach przemysłu, jak okrąg Katowicki, w którym powietrze przesycone jest dymem, powierzchnia ziemi porznięta szynami kolejowymi, wewnątrz poryte kopalniami. W nocy palą się tam setki lamp kolejowych i fabrycznych.

Huta Królewska, o ½ godz. jazdy tramwajem elektrycznym z Katowic, nie zna snu. W olbrzymich jej fabrykach, istnych kuźniach Hefajstosa, leje się nieustannie rozpaloną do białości stal; widać tor z ulicy; rzuca ona z wielkich koszuw blaski na domy, na halę miejską, żyje piekielnym życiem, widoczna na przestrzał, przezroczyta i tajemnicza zarazem ta kombinacja maszyn, pręseł, żelaziw, współczesna potęga, tworząca bogactwo i nędzę.

Dojeżdżając do huty, słyszą, jak dwie młode dziewczyny mówią po niemiecku: „oto Wilhelma park”, — na to starsze kobiety do nich, również po niemiecku: „Ależ nie, to park Kościuszki, uie można się mylić, trzeba o tem pamiętać”.

N. Samotyhowa.

CO NIESIE ŻYCIE

„HAFCIARKA”.

Nakładem Spółki Wydawniczej „Bluszcz” ukaże się niebawem w druku poemat Marii Grossek-Koryckiej p. t. „Hafciarka”. Poemat ten, uwieńczony niegdyś nagrodą konkursową, nie mógł być, za czasów cenzury rosyjskiej, wydrukowany w całości. Znało tylko jego fragmenty, zaciekawiające krytyków oryginalnością ujęcia tematu, prostotą, wdziękiem i siłą tęsknoty za złożoną wówczas w mogile Ojczyzną.

Przy końcu ubiegłego roku „Przegląd Warszawski” poświęcił poematowi temu wyczerpujące studjum, wyrażając przytem żal, że piękny ten utwór pozostaje dotąd ogółowi polskiemu nieznany, z krzywdą dla autorki, a przedewszystkiem dla kultury polskiej.

Obecnie krzywdą ta naprawiona zostanie.



„SURSUM CORDA“

Pod tytułem powyższym ukazała się książeczka do nabożeństwa dla młodzieży, napisana przez panią H. Cz.

Profesor uniwersytetu Warszawskiego, ks. dr. Kozubski ocenia ją w sposób następujący:

„Książka ta odpowiada wszystkim warunkom dobrej książki do nabożeństwa. Autorka głęboko obmyśliła układ taki, który najlepiej trafi do duszy młodzieży, a doboorem modlitw zaspokoiła w zupełności potrzeby duchowe i tęsknotę religijną młodego pokolenia. Mała to książeczka, ale zawiera wiele; nie opuszczono w niej ani jednego z aktualniejszych nabożeństw dzisiejszej doby, a każda modlitwa poprzedza krótki tekst z Pisma św., który tworzy nietylko motto nabożeństwa czy modlitwy. Jeśli dodamy do tego intencję autorki, której celem rozbudzanie życia religijnego i zupełną bezinteresowność (dochód na cele dobroczynne), to naprawdę, książeczka ta zasługuje na rozpoznanie wśród młodzieży szkolnej i pozaszkolnej.

SMUTNE ZJAWISKO.

Działaczki, pracujące w Tow. Emigracyjnym, notują objaw świadczący o rozpętanu egoizmów ludzkich, niszczącym dziś życie rodzinne u samych jego podstaw. Do Tow. Emigracyjnego napływają nieustannie listy (czasem po kilka na dzień) od żon, opuszczonych przez mężów, którzy, wyemigrowawszy z kraju, uznali węzły, łączące ich z rodziną, za zerwane. Zaledwo bardzo nikły procent emigrantów poczuwa się do obowiązków przysyłania rodzinom w kraju choć części swego zarobku. Mowa tu zwłaszcza o wychodźcach do Ameryki. Tamtejsze prawa ułatwiają bowiem palenie za sobą mostów. I tak: żona, upominająca się u męża emigranta o należne jej alimenty, musi, dla przeprowadzenia sprawy, osobiście stawić się przed sądem Stanów Zjednoczonych. Oczywiście warunek, prawie zawsze, niewykonalny.

Jeżeli, od chwili ostatniego zgłoszenia się pozostałej w kraju rodzinnej małżonki, upłyne lat dwa — wychodźca uznany jest za człowieka wolnego i może zawrzeć nowe związki małżeńskie, bez względu na przeszłość.

Skwapliwie korzystają z tych udogodnień wychodźcy nasi, podczas gdy żony ich i dzieci giną z nędzy w zapomnianej przez egoistów ojczyźnie. Podkreślić należy, że wypadki tego rodzaju stosunkowo częściej zdarzają się wśród emigrującej inteligencji, niż wśród włościan i robotników.

Panie, pracujące w biurze Tow. Emigracyjnego, robią wszelkie wysiłki, by za pomocą korespondencji, obudzić sumienie wzbogaconych na obczyźnie wiarołomców i przypomnieć im zdradzone żony, porzucone dzieci. Czasem wyniki tej akcji bywają pomysłne.

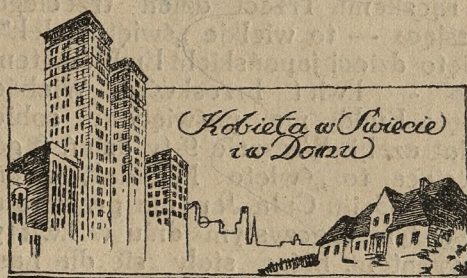
OPIEKA NAD WYCHODźCAMI.

Prócz „Polskiego Tow. Emigracyjnego“, (dawniej—kolonialne) prócz „Stowarzyszenia Młodych Kobiet“, losem wychodźców naszych zajmuje się także „Biuro Pomocy Emigrantom“ (przy ul. Czackiego 10), prowadzone również przez kobiety. Na czele tej instytucji stoi kanoniczka Zofja Osmiałowska. Współpracownicami jej są: panie Marta Walewska i P. Łoskie-wiczówna.

Biuro to stanowi filję amerykańskiego katolickiego towarzystwa opieki nad wychodźcami. Prowadzone na mniejszą skalę, niż wyżej wymienione instytucje, załatwia jednak kilkuset interesantów rocznie i niesie pomoc materialną tym, z pośród wychodźców, którzy zmuszeni są czekać dłużej w Warszawie na wyjazd, lub którym brak pieniędzy na pokrycie wszystkich wydatków, związanych z podróżą. Poza tem pomaga w załatwianiu formalności i udziela informacji wybierającym się w świat na zarobek.

Biuro posiada filję w Weyhero-wie oraz na wyspie Ellis w pobliżu Nowego-Yorku, która to wyspa stanowi jakby stację przeładunkową dla ruchu emigracyjnego z Europy.

H . . . a.



RUCH KOBIECY NA KAUKAZIE.

Idea równości obywatelskiej wszystkich ludzi bez różnicy płci zdaje się przenikać we wszystkie, najodleglejsze bodaj od centrów cywilizacji i kultury, zakątki Europy. Pismo bułgarskie „Wiestnik na ženata“ zamieszcza wiadomość o pierwszym kongresie w sprawach równouprawnienia kobiet, który się odbył w ubiegłym miesiącu w mieście Uzbek na Kaukazie.

PRAWNICZKI W TURCJI.

Wydział prawny uniwersytetu w Konstantynopolu liczy obecnie poza studentami płci męskiej 20 słuchaczek — nie cudzoziemek (jak się to dotychczas zdarzało), lecz rodowitych turczynek wyznania mahometańskiego. Dotychczas żadna kobieta w Turcji nie zajmowała jeszcze stanowiska w palestrze i sądownictwie.

ZJAZD MIĘDZYNARODOWY W CHRISTJANJI.

Pomiędzy 28 lipca a 1 sierpnia bieżącego roku ma się odbyć w Christjanji III-ci Zjazd Międzynarodowej

Federacji Kobiet z uniwersyteckiem wykształceniem (International Federation of University Women). Omawiane mają być kwestje następujące: 1) Organizacja Międzynarodowych Stowarzyszeń dla wzajemnego poznawania się, wycieczek i t. d. 2) Sprawa współpracy pomiędzy uniwersytetami różnych krajów. 3) Udział kobiet w sprawach publicznych. Wykształcenie i metody niezbędne do brania udziału w pracy na polu polityki, przemysłu, handlu, finansowem i t. d.

Po zakończeniu zjazdu projektowaną jest dłuższa wycieczka delegatów z różnych stron świata dla zwiedzenia krajów skandynawskich: Norwegji, Szwecji, Danji i Finlandji.

CO MYŚLI GORKIJ O KOBIECIE?

Pismo nowojorskie „The Nation“ zamieszcza interview swego korespondenta ze słynnym pisarzem rosyjskim, Maksymem Gorkim, na temat—kwestji kobiecej: Oto, co mówi Gorkij: „Najwyższem zadaniem kobiety jest — dawać natchnienie mężczyźnie, wlewać w jego duszę i umysł płomień zapału, umiłowania życia i pragnienia dokonania czegoś wielkiego; kobieta sama przez się nie jest twórczą: jest w niej tylko wielka, potężna siła, pobudzająca mężczyznę do twórczości.

„Największe postacie kobiece, znane nam z dziejów świata, są to typy królowych — pszczoł, których zadaniem jest pobudzenie do pracy pszczoł — robotnic. Oczywiście, zdarzają się też i wyjątki. Taka Katarzyna Wielka np. działała znacznie więcej na polu kultury i cywilizacji, niż Piotr Wielki przez trzydzieści lat wytężonej pracy. Marta Borecka potrafiła przeciwstawić się Iwanowi Groźnemu bardziej stanowczo i z większą odwagą i siłą woli, niż ktokolwiek bądź inny z jego otoczenia. Jeden z najwspanialszych okresów w dziejach rozwoju państwa angielskiego związany jest nierozdzielnie z nazwiskiem Królowej Elżbiety. Realny umysł i bystry wzrok Izabelli hiszpańskiej, sięgający daleko w przyszłość, umożliwił Kolumbowi dokonanie dzieła, którem wzgardzili inni władcy Europy, uważając je za utopijną mrzonkę.

„Przechodząc do innej dziedziny — zastanówmy się nad rolą, jaką odegrała George Sand na tle swej epoki. Nie miała ona, mojem zdaniem, zbyt wielkiego talentu pisarskiego, lecz genjusz jej polegał na niezwykłym darze wyszukiwania ludzi utalentowanych i pobudzenia ich do twórczości. Widzimy, jaki silny wpływ wywarła na twórczości takich ludzi, jak Chopin, Liszt, Musset, Turgieniew i Dostojewski”.

W tem miejscu rozmówca Gorkiego przypomniał mu jego apel „do matek całego świata“, ogłoszony na początku wojny, wzywający kobiety do przeciwstawienia się na przyszłość wszelkim zatargom wojennym. „W was, kobietach — matkach“ wołał w tem płomiennem orędziu poeta, „tkwi je-

dyna, wieczysta, niezmierzona siła. Wy jesteście nieśmiertelnymi wrogami śmierci. Wy jesteście tą potęgą, która walczy bezustannie, nieustraszenie — i zawsze zwycięża”.

„Proszę nie zapominać” — odparł na to Gorkij — „że na życie można patrzeć z dwóch punktów widzenia. Jedna jego strona — wyraziłbym się — jest materialną; druga intelektualną, spekulatywną. Kobieta jest główną przedstawicielką życia uczuciowego, głównym wrogiem nędzy i głodu. Miłość jej, zrazu zacieśniona do najbliższych zadań, uchronienia od głodu własnego dziecka, rozszerza się stopniowo coraz bardziej: pragnie ona, by wszyscy ludzie — nie tylko jej mąż, bracia, siostry, lecz i cały świat, wszystkie rodziny, na nim istniejące — odpędzili od siebie widmo głodu”.

„Cóż pan myśli o ruchu kobiecym wogóle?”

„Mojem zdaniem, pole pracy kobiety musi być wyraźnie określone. Tak np. nie wyobrażam sobie, aby mogła ona działać dużo na polu prawa, ustawodawstwa i t. d. Konstytucja, opracowana i napisana przez kobiety, byłaby z pewnością całkowicie nie do przyjęcia, gdyż kobiety nie mają w tej dziedzinie ani wiedzy, ani doświadczenia. Natomiast we wszystkich zagadnieniach czysto materialnych, tak jak higiena, aprowizacja, kwestji mieszkaniowej, gospodarstwa i t. d. — zdanie kobiety może być niezmiernie cennie, nierównie cenniejsze nawet, niż zdanie mężczyzny; z pewnością udział kobiet w regulowaniu tych ważnych zagadnień dałby wyniki jak najbardziej dodatnie. Z tego względu uważałbym za bardzo wskazane wybieranie kobiet do parlamentów. Współpraca ich z posłami — mężczyznami mogłaby przyczynić się do wszechstronnego oświecenia wielu dziedzin życia gospodarczego i etycznego, które wychodzą z pod obserwacji mężczyzny”.

KSIAŻKA O ELEONORZE DUSE.

Znany pisarz włoski, Gabriele d'Annunzio, ma wydać w najbliższym czasie książkę, poświęconą wspomnieniom osobistym o świeżo zmarłej wiekłej tragicznej włoskiej, Eleonorze Duse. Wielki talent pisarski d'Annunzia oraz bliski stosunek, który go łączył z genialną artystką, wróży tej książce wielkie powodzenie.

SŁYNNNA MOTOCYKLISTKA.

Wszelkiego rodzaju sporty wśród kobiet włoskich mają już od szeregu lat wielkie powodzenie, niektóre zaś championki włoskie zdobywają sobie sławę międzynarodową. Do najwybitniejszych motocyklistek Europy należy pani Vittorina Sambri, która, począwszy od 1913 r., brała udział w całym szeregu konkursów zarówno międzynarodowych, jak i lokalnych

włoskich, zdobywając kilkanaście razy pierwszą nagrodę. Jest ona uczennicą, a zarazem szczęśliwą rywalką sławnego „mistrza motocyklu”, Artura Forti — prześcignęła jednak niebawem swego nauczyciela, zwyciężając go na konkursie jazdy w Parmie. Odtąd sława jej imienia w kołach sportowych wzrasta coraz bardziej, i uważana jest za niedoścignioną mistrzynię w swym zawodzie.

KWIATY I JAPONKI.

Znanem jest powszechnie upodobanie narodu japońskiego do kwiatów. Są one rodzajem emblematów narodowych, mają dla Japończyka znaczenie uczuciowe, prawie mistyczne. Doroczne święta religijne i narodowe mają poświęcone sobie pewne rodzaje kwiatów. Widzieć wtedy można nie tylko mieszkania japońskie — od wykwintnych pałaców dostojników do chatki biedaka — przybrane temi kwiatami, lecz artystyczne wyobrażenia ich znajdujemy wyszyte na barwnych sukniach Japonek, przywdziewanych w dzień tej uroczystości. I tak np. dzień noworoczny poświęcony jest kwiatowi wiśni. Delikatne płateczki tego kwiatu zaścieniają podwórza i pokoje każdego japońskiego domu, widnieją także na jedwabnych szatach Japonek, wyhaftowane ich pracowitemi rączkami. Trzeci dzień trzeciego miesiąca — to wielkie „święto lalek”, święto dzieci japońskich. Emblematem jego — kwiat brzoskwini. Wielkie święto Buddy ma poświęcony sobie kwiat azalii. Wreszcie 9-ty dzień 9-go miesiąca, to „święto Mikada”, dzień jego urodzin. Cała Japonja przystroja się w tym uroczystym dniu w kwiaty chryzantem, które stały się dla nas, cudzoziemców, jakby emblematem narodowym tego kraju. Znaczenie ich jednak w kraju rodzinnym jest inne: symbolizują one — łzy matek japońskich, wylewane skrycie na mogile synów, którzy zginęli w obronie umiłowanej nadewszystko przez każdego Japończyka, ojczyzny.

Innym dowodem ogólnej miłości narodu japońskiego do kwiatów jest ich poezja narodowa, w której kwiaty odgrywają tak wielką rolę. Nawet w mowie potocznej Japończyk często wspomina kwiaty swej ojczyzny. Typowym przykładem tego jest list wybitnej działaczki japońskiej na polu równouprawnienia kobiet, pani Etsu Inagaki Sugimoto, ogłoszony w jednym z amerykańskich pism. Pani Sugimoto odbyła wycieczkę po Ameryce celem zapoznania się z pracą kobiet w tym kraju. Po powrocie do ojczyzny, ogłosiła do kobiet amerykańskich list następujący:

„My, japończycy, kochamy kwiaty zarówno dla nich samych, jak i dla ich znaczenia symbolicznego. Uczono mnie od dziecka, że kwiat dzikiej śliwy, rozwijający odważnie swe pączki

wbrew pogrożkom chłódów wiosennych, jest symbolem pracy niezrażającego się żadnymi trudnościami i powinien jako taki służyć za wzór młodym dziewczętom, aby rosły skromne, pracowite i wytrwałe. Prześlicznym jest kwiat wiśni, który nie więdnę nigdy, bo najłżejszy podmuch wietrzyka rozprasza jego płateczki, jeszcze świeże i wonne, czyniąc z nich cud lekkich obłoczków, opadających na ziemię śnieżnym kobiercem, mieniącym się delikatną barwą zorzy porannej: piękno! wiecznie zmienne i wiekuiście młode.

I oto dziś, po zapoznaniu się z wami, kobietami Zachodu, chciałabym wam powiedzieć, że zetknięcie się z waszą pracą zabrało mi wiele złudzeń, nie żałuję ich jednak, dopiero teraz bowiem zrozumiałam, że my, japonki, jesteśmy jak ten kwiat dzikiej śliwy, skromne, ciche i znoszące bez oporu niesprawiedliwość losu. Wy zaś, siostry nasze z zachodu, — z waszym poczuciem godności osobistej, niezależnej, umiejące się przystosować z szybkim zrozumieniem do każdej zmiany życia — wzbudzać musicie w każdym sercu ten dreszcz radości, jakiego się doznaje na widok kwiatu wiśni — kwitnącego, tak jak i wy, w warunkach piękna, swobody i słońca”.

ODZNAKA ZA MACIERZYŃSTWO

W Portsmouth (Virginia, St. Zjednoczone) wprowadzoną została przez Radę miejską odznaka za macierzyństwo w postaci medalu. Każda matka po urodzeniu dziecka otrzymuje taki medal, na którym wyrzeźbione jest jej imię i imię dziecka. Obowiązana jest nosić tę odznakę publicznie.

ZDANIE ANATOLA FRANCE'A O KOBIECIE

Paryski „Figaro” ogłosił kwestjonariusz z zapytaniem, jakie jest zdanie, wybrane z pośród dzieł wielkiego pisarza nowoczesnej Francji, Anatola France'a, najpiękniejsze i najbardziej godne zapamiętania? Jedną z odpowiedzi wymienia następujące zdanie o kobiecie:

„Kobieta jest największą wychowawczynią mężczyzny. Uczy go ona cnót najszlachetniejszych, jakimi są: subtelność, dyskrecja, takt i ta duma, pełna delikatności, która nakazuje nam dbać o to, abyśmy się nie narzucali zbyt blisko naszemu bliźniemu”.

POSTĘP W HISZPANJI.

Rząd hiszpański wyznaczył do nowopowstałej komisji, mającej za zadanie kontrolę nad kontraktami pracy w Hiszpanji, dwie kobiety: senorę Marję de Echiarri i marchesę de Rapal, jako rzeczoznawczynie do spraw, związanych z pracą kobietą.



W Królestwie bajki.

Ciekawą ankietę przeprowadziło niedawno jedno z pedagogicznych pism amerykańskich. Rozesłało do szkół powszechnych, w których kształcą się dzieci poci obojętne w wieku od 7 — 12 lat, kwestionariusz na temat ulubionych książek, zajęć, gier, upodobań i t. p.

Znakomita większość odpowiedzi w rubryce pierwszej brzmiała: „Bajki.” Wiele dzieci na pytanie, komu zawdzięczają największą chwilę szczęśliwych, odpowiedziało: „Andersenowi.”

Szczerość i bezpośredniość dziecka uwidatniła się tutaj w całej pełni. Wiedzą o tem upodobaniu dzieci wydawcy, wiedzą też wychowawcy, jak dodatnim czynnikiem pedagogicznym jest bajka, i dla tego w porze gwiazdkowej roją się od bajek półki księgarskie wszystkich krajów.

Nasze firmy wydawnicze, nie pozostające pod tym względem nigdy w tyle, w tym roku bodaj prześcignęły dotychczasowy swój na tem polu dorobek. Jest w czem wybrać.

Doskonały pomysł miała księgarnia Perzyńskiego i Niklewicza, wydając zbiór „*Bajek Polskich*,” zebranych przez panią R. Stecką i obejmujących całą polską literaturę bajkową we wzorach, zaczawszy od Biernata i Leblua w 16 w. i Reja z Nagłowic i kończąc na Lewińskim i Herszu. Podobny charakter entologiczny ma też zbiór bajek klasycznych p. t. „*Zwierzęta i ludzie*,” wydanych przez Tow. wyd. „Ignis”.

Na polu wydawnictw z działu literatury bajkowej oryginalnej i indywidualnej naczelnie miejsce zajęła w tym roku stara, zasłużona firma Gebethnera i Wolffa. Dwie piękne wydane przez nią książki: „*Prygody Kudelki na wai*,” Niny Homolaczowej, przez nią samą barwnie ilustrowane i opisujące uciśnione przygody miejskiego pieska na letnisku, a przede wszystkim bajka o „*Wicku Świerszczyku i Karaluchu Smalcu*,” Jana Grabowskiego, opowiedziana z pysznym humorem a zarazem ze szczerą rzewnością, — zaliczyć należy do prawdziwych pereł na polu odnośnej twórczości. Bodaj czy nie zgadnę trafnie, przepowiadając Wickowi Świerszczykowi i Karaluchowi Smalcowi w literaturze naszej dziecięcej sławę włoskiego Pinnoechia.

Wdzięczny, a mało dotychczas wyszyskany temat obrała p. Ewa Szelburg-Ostrowska w swoim „*Ogrodzie Króla Marcina*,” wydanym ozdobnie przez firmę M. Arcta i suto ilustrowanym przez znanego rysownika A. Gawińskiego. Czarodziejska ta opowieść o życiu i obyczajach roślin, hodowanych przez mądrego i zacnego ogrodnika, króla Marcina, posiada obok dużych zalet pedagogicznych, treść ciekawą i niezwykle barwną, która niewątpliwie zjedna jej sympatie młodych czytelników. Z humorem i zacięciem układa też swoje Bajki p. Marja Niklewiczowa. Jej opowiadanie o „*Urwisie Antku*” i o „*Szkrabie, chłopcu morskim*” oraz inne dziwne historie, wydane ozdobnie nakł. Perzyńskiego i Niklewicza i z talentem ilustrowane przez Zofję Rawińską-Smidowiczową, wnoszą dużo oryginalnych pomysłów, składających się na całość wielce udatną.

Po raz pierwszy bodaj występuje jako bajarka p. Zofja Zaniewska-Witkowska. Jej „*Baśnie Młodości*,” wydane nakładem ruchliwej „*Książnicy*,” są rzewne, pełne polotu i prawdziwej poezji, może jednak dla dzieci nieco za smutne, zwłaszcza ostatnia z nich p. t. „*Co silniejsze?*”

Współpraca matki i syna złożyła się na przepięknie wydane „*Bajki*” Stefani Wandy-

czowej (wyd. Tow. wyd. „Ignis”). Wielobarwne plansze, do których rysunki dał jedenastoletni syn autorki, pełne są pomysłów śmiałych i poczucia kolorystyki; pogodne bajki pióra matki znalazły w młodocianym rysowniku idealnego wprost ilustratora.

I wreszcie na koniec najlepsze, to, co dało mi asumpt do tytułu niniejszego sprawozdania, „*Królestwo Bajki*” Ewy Szelburg-Ostrowskiej, ilustrowane przez A. Gawińskiego, a wydane przez M. Arcta. Królestwo Bajki w życiu! Byleby umieć je znaleźć. Dobra Babunia-Milunia i okrucieństwo różowego szkiełka, a przede wszystkim sama Królowa — Bajka pomogły i otworzyły przed dziećmi świat czarów.

Niech żyje Królestwo Bajki!

R. C-owa.

Z TYGODNIKÓW

№ 29 „*Wiadomości Literackich*” przynosi na miejscu naczelnem obszerny artykuł Boya o kuliście Balzaca w związku z ostatnimi publikacjami francuskimi i niemieckimi. Dalej w numerze znajdujemy artykuły: St. Czosnowskiego „*Fundusz narodowy dla literatów*,” K. Irzykowskiego „*Historja pewnego konkursu*,” korespondencję K. Szymanowskiego z Paryża, artykuły informacyjne o Radigucie, nowych dramatach niemieckich, obfitą kronikę rosyjską. W dziale recenzyj W. Wandurski omawia książkę K. Irzykowskiego o kinie, J. N. Miller rozważa rolę majora Pycia w powieści J. Kadena „*Generał Barcz*,” S. Napierki charakteryzuje ostatnią powieść J. Korczaka, M. Stępski pisze o metodach Forda w księgarstwie, a W. Husarski analizuje tryptyk z Bodzentyna.

DOM

Magiczne słowo, symbol szczęścia dla tyłu niestety, jednostek niedoścignęło. Dom, to królestwo kobiety. Tu może rozwinąć całą swoją indywidualność, może tworzyć poemat, przeciętność albo piekiel! Dawniej „dom własny” był rzeczą powszednią, nie tak może, jak dzisiaj cenna, bo dla każdego dostępną — dzisiaj dla wielu wykończonych jednostek jest celem, najśmielszym i najświętszym marzeniem. Znam przysłowie, które mówi, „zobaczyć Neapol i umrzeć,” i jeżeli ono ma być wyrazem cudu wzrokowego, za który śmiercią zapłacić warto, nie mniej szczerze zawołałabym z głębi serca: „złóż głowę pod własnym dachem i umrzeć!!!” Nie trzeba jednak śmiałością pragnień obrażać tych, którzy nic losu przed sobą Sądzą, że nam wszystkim, któreśmy się tułali lata po wynajętych pokojach, pensjonatach etc., wystarczyć parę skromnych pokojów z własną kuchnią i łazienką. Ta używalność kuchni cudzej przy wynajętych pokojach, to było i jest martirium wszystkich rozbitek.

Temat, który poruszam, „wyrwam z serca” jak do niedawna jedna z rzędu tych, którym żywołowa zawierucha drogie gniazdo zrównała z ziemią i które za tak zwane marzenia ściętej głowy uważały posiadanie jeszcze kiedyś „swego domu”. Dzisiaj jestem panią czteropokojowego słonecznego mieszkanka z gazową łazienką i czysciutką śliczną kuchenką. Nasuwa mi się przed oczy szereg „gwiazdek” i królujących w nich istot i nie wiem, czy nie do brze byłoby odebrać im choć na króciutko królestwa, aby zrozumiały, co posiadają!

Najpierwszym warunkiem dobrego panowania jest ład i porządek. Dom, w którym żyje się z planem i przestrzegą godzin, wyznaczonych na posiłki, ma możność zorganizowania się i normalnego bytowania. Zamiast z wyrazem męczeńskim na ustach wyrzekać na „dzisiejszą służbę”, starajmy się mądrze i planowicie zarządzeniami ułatwić jej pracę, a współdziałaniem w drobniaczkach ulżyć ciężarowi. Służąca, która ma wieczorem zadysponowane wszystko na dzień następny, która sama załatwi sprawunki i nie potrzebuje kilkakrotnie biegać z trzeciego lub czwartego piętra po zapomniane przy dyspozycji drobniaczki, nie zużywa sił i czasu na marne, mo-

że porządnie utrzymać mieszkanie, podać na czas obiad, a między obiadem i kolacją, znaleźć chwilę czasu, aby odpocząć, poczytać lub zreperować coś dla siebie. Sądzą, że rzadkością są już dzisiaj panie domu, które godząc służącą, biorą ją w niewolę fizyczną i moralną, rozumieją już chyba wszystkie, a co więcej i postępowaniem swoim wyraz temu zrozumieniu dają, że dla dziewczyny na służbie świat nie kończy się na rondlu i ścierce do kurzu, ma ona też swoje życie wewnętrzne i zewnętrzne, któremu, chcąc mieć dobrą i oddaną pracownicę, rozumne ujęcie dać trzeba.

Dom, utrzymany czysto i zorganizowany planowo, czeka jeszcze na najważniejsze, czeka, żeby tchnąć w niego ducha i nadać mu zewnętrzną powłokę estetyczną i miłą dla oka. I tu się zaczyna egzamin, który zdaje kobieta!

Ileż jest wśród pań domu czarodziejek! Stwarzają one wprost cuda z niczego. Umiejętnym zastosowaniem kanarka, wzorzystego kretonu, paru doniczek kwiatów, zręcznie zrobionego abażuru, ładnie rzuconego na ścianę pasiaka łowickiego, stwarzają wnętrza jasne, estetyczne i pogodne, w których, jak mówią postronni widzowie, „szczęście mieszka”.

Jeżeli kobiecie nie przypada w udziale z konieczności praca poza domem i może cały swój wysiłek skoncentrować na doprowadzeniu do doskonałości życia domowego, ma wdzięczne i naturze kobiecie j. niezmiernie odpowiadające pole działania, a stwarzając miłą, wygodną, spokojną dom i kierując nim umiejętnie, staje się błogosławioną szafarką dobra, które mężczyzna pracą swą wywalcza.

Jakże godnym zazdrości jest dom, gdzie gości zawsze pogoda, ład i cisza! Służąca nie dudni bosymi nogami, uczesana i ułana jest skromnie, ale starannie i czysto, pani domu rano w ładnym szlafrocisku i czepeczku, potem, po ukończeniu codziennych starań o ład i estetyczny wygląd gniazdka, odziana w miłą dla oka, a ładną w linie szatkę, zlewa się w artystyczną całość z tłem swego wnętrza. Na powracającego męża czeka starannie nakryty stół. Pomyślano o wszystkim; miłej pogawędki i nastroju, jaki wytwarza zacisza jadalnia, kwiatami rozweselana, nie przerywa kilkakrotne wołanie na służącą lub zrywanie się samej po zapomnianą sól, talerzyki do kompotu lub serwetki. Wszystko jest na miejscu, obiad skromny, lecz smaczny i umiejętnie zadysponowany, z uwzględnieniem gustu domowników. Herbata czy kawa podane na ustawionym, gdzieś w zacisznym kąciaku jadalni stoliczku, gdzie miękkie fotele dają chwilę miłego, po pełnym dniu, wypoczynku, a uspasabiając do szczerzej pogawędki, dają możność podzielenia się przeżyciami dnia ubiegłego i planami na dzień, co idą.

Żona, przyjmująca męża, powracającego do domu, mile uśmiechniętą twarzą, dającą mu możność wypoczynku w wygodnym i miłym otoczeniu, umiejąca natchnąć do siebie zaufaniem, ta, która wszystko przebacza, bo wszystko rozumie, wreszcie taka, która ceniąc się sama, cenić się bezzmiernie nakazuje, a pomimo to nigdy się na pierwszy plan nie wysuwa, może być pewną, że tak ona, jak srodowisko, które stwarza, wytrzymają porównanie, a to jest największym zwycięstwem żony!

Najdoskonalszy typ żony i najmiłszy dom miewają swoje okresy niełaski! Pan i Władca, jak dobry król, lubi czasem na prawo i lewo rzucać uśmiechy. Jeżeli go kochamy lub też jeżeli miłość własna kobiety cierpi, pragniemy, żeby niepodzielnie wrócił nam, a wróci, jeżeli zawsze i wszędzie wytrzymamy porównanie. Wytrzymać porównanie, to największa siła kobiety w obliczu niebezpieczeństwa, jakim jest dla każdego mężczyzny musujący kielich życia! Dla żony, która jest zawsze równie dobrym przyjacielem, która umie milczeć, umie nie wiedzieć i umie zrozumieć, każde odchylenie staje się plusem, z taką rozkoszą się do niej wraca, że w końcu brak chęci odchodzenia, a w triumfie powrotu, najlepszym i najwierniejszym sojusznikiem jest dom, miły, kochany, wygodny dom!

HODOWLA INDYKÓW I PERLICZEK.

Hodowla indyków i perliczek wymaga specjalnych starań, ze względu na niezupełne zaklimatyzowanie się tego ptactwa w naszym kraju.

Młodym indykom, a jeszcze bardziej małym perliczkom szkodzi deszcz, chłód, mgła, a nawet i rosa poranna. Główne warunki pomyślnej hodowli obu gatunków ptactwa, to: suchy, piaszczysty grunt, odpowiednie pastwisko, sąsiedztwo lasu, suche, obszerne pomieszczenie.

Młode indyczki i perliczki są o wiele odporniejsze na choroby i łatwiej znoszą zmiany atmosferyczne, o ile pochodzą ze stada niespokrewnionego.

Na 1-go indora w wieku 1½ — 2 lat można dać 5 indyczek, najmniej 2-u letnich; gdy te zaczynają się nieść, obecność indora jest zbyteczna.

Wczesne nasadzenie indyczki jest bardzo ważne, gdyż młode przed upałami lipcowymi powinny się wykoralic, często w lipcu indyczka znosi powtórnie jaja i może wysiedzieć drugą partię młodych, które tak ładnie już nie wyrastają.

Jako pierwszy pokarm dla indyczek, a zwłaszcza perliczek, najlepsze są mrówcze jajka, które bardzo łatwo w worku z lasu zgarnąć z mrowiska; przywieźć i rozsypanywać na grzebniku.

Pisklęta indyckie bardzo lubią ryż, ekonomiczniej jednak dawać im równie ulubione: nasiona pokrzywy, kopru, pietruszki. Karmę miękką należy przyrządzać z kaszy gryczanej i jaj na twardo ugotowanych, posiekanych z cebulą, szczypiorkiem, porami i krwawnikiem.

W razie rozstroju żołądkowego dobrze jest dawać wygotowany piołun lub wywar z kory dębowej do picia.

W miarę jak podrastają, można dawać w karmie mniej jajka, kaszę gryczaną zastępować jęczmienną, wreszcie kartoflami.

Karmę zarabia się kwaśnym mlekiem, wobec czego wody można nawet nie stawiać. Przy dodawaniu twarogu do pożywienia, osobno należy pamiętać o czystej świeżej wodzie.

Jedzenia należy przygotowywać nie więcej, tylko tyle, ile potrzeba na jedno nakarmienie, gdyż przy cieple łatwo kwaśnieje, a indyki i perliczki są bardzo wrażliwe na zepsutą karmę.

Należy zwracać uwagę, aby szczególnie podczas koralenia kasza była uprażona na sypko (nieprzypalona), gęsto wrobiona ze słodkiem lub kwaśnym mlekiem, z posiekanymi resztkami mięsami, cebulką i zieleniną, świeżo przygotowanymi.

Skoro minie czas wyklucia się brodawek koralowych, między 6 a 8 tygodniem puszczają młode indyczki wolno na pole, gdzie się żywią owadami, nasionami, w lesie jagodami, dżdżem, upałami i rosą poranną już im nie szkodzą.

Na zimę muszą indyczki mieć zaciszne miejsce, szopę z wysoko, lecz równolegle umieszczonymi grzędami, pożywienie w postaci jarzyn gotowanych i naprzemian surowych, odpadków owocowych z pośladem, plewami lub otrębami.

Pod względem wychowu młodych, jednakowo należy indyczki i perliczki karmić i pielęgnować, zwracając uwagę na momenty krytyczne, jak koralenie i pierzenie się, aby się nie przeziębily i dostawały zdrową i pożywną karmę.

Przy wychowie większej ilości panterek warto jest urządzić dla nich robaczarnię, gdyż potrzebują więcej zwierzęcego pokarmu, niż indyczki.

Cechą również różniącą te dwa gatunki ptactwa jest, że panterki trzymają się często parami, podczas gdy indyczki żyją stadem. Mylnem jest jednak twierdzenie, że panterki nie wystarczą do zapłodnienia więcej niż jednej samicy.

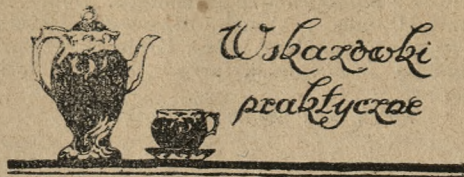
Jednemu sameowi od 12 do 14 perliczek można dać na okres wiosenny. Gdy się zaczyna nieść (od maja najwcześniej), samca można usunąć, tak jak indora.

Jaj perliczek niosą więcej, niż indyczki, przy racjonalnym chowie panterka może rocznie dać do 100 jaj, które są nadzwyczaj pożądane ze względu na delikatny smak.

Jaja perliczek nasadza się zwykle pod kury lub indyki, bo panterki są złemi nasiadkami.

Rozróżnianie płci u panterek jest bardzo trudne: samiec wyróżnia się miłym głosem, grubszą głową i wyższym hełmem.

M. Morzkowska.



KONFITURY

(ciąg dalszy)

Konfitury najlepiej przechowywać w słojach szklanych, niezbyt dużych, aby raz otwarty słoik szybko był zużyty, — słoje powinny być szczelnie obwiązane pergaminem. Szklane słoje mają tę wyższość nad kamiennymi, że widzi się, co zawierają, w jakim stanie są konfitury, czy się nie cukrzeją, nie burzą, nie podnoszą w górę, pozostawiając w dole czysty syrop, co jest dowodem, że są niedosmaczone.

Należy je trzymać w suchej spiżarni lub suchej piwnicy, dawniej robiono specjalne skrzynie z grubych desek na zawiasach; słoje, ustawione w skrzyniach, osypywane wokoło piaskiem, dobrze wysuszonym, piasek wciągał wilgoć, (co kilka miesięcy należało go zmienić lub przesuszać w piecu), a grube deski ścian i doka chroniły od szczurów i myszy.

Latem konfitury doskonale się przechowują w piecach, sposób ten jednak na szerszą skalę może być stosowany na Kresach tylko, gdzie piece do drzewa są budowane, w węglowych piecach jest za mało miejsca.

Gdyby konfitury się cukrowały, należy do każdego słoja wlać łyżkę gorącej wody gotowanej, słoje wstawić w rondel, obłożyć sianem, nalać zimną wodą, postawić na wolnym ogniu i gotować, aż zcukrowane części się rozpuszczą, (słoje winne być otwarte), odstawić od ognia, dać wystygnać zupełnie, nie wyjmując z wody, boby popękać mogły, — po wyjęciu słoje starannie obojętnie, aby wilgoć do środka nie trafiła, dopiero wtedy ponownie zawiązać. Konfitury takie należy szybko używać, gdyż skłonność do cukrowania się zostaje. Gorzej jest, gdy się konfitury takie kwaśnieją i burzyć zaczynają. Jeśli w samym początku to zauważymy, należy je przelać do miedniczki, dodać cukru i przesmażyć na wolnym ogniu, starannie szumując; stracią nieco na wyglądzie, a nawet nieco na smaku, dadzą się jednak użyć. Bardziej zburzone i skwaśniałe konfitury można użytkować tylko do zaprawy octu lub zrobić z nich kwas owocowy. Po tych ogólnych uwagach przejdę teraz do smażenia poszczególnych gatunków konfitur, — na niektóre z nich będzie już niestety w tym sezonie za późno, większość jednak przepisów przyjdzie w czas jeszcze, i jesienne owoce szczególnie będą mogły młode, niedoświadczone gospodie, (od starszych, doświadczonych gotowałem się zawsze sama nauczyć) usmażyć według wskazówek z „Bluszczu” zaczerpniętych.

Rumbarbarum. Konfitura ta, szczególnie zdrowa dla osób o złym trawieniu, jest u nas mało znana, a ze wszelkich miar zasługuje na rozpowszechnienie. Najgrubsze jasne łydgi oczyścić starannie z włókien, pokrajać w kawałki rozmiaru niedużego włoskiego orzecha, ułożyć w wazę lub głęboką salaterkę. Na funt rumbarbarum bierze się półtora funta cukru, — trzecią część tego cukru zagotowuje z wodą (szklanka na funt) na ulep, zaledwie nieco letniem ulepem zalewa rumbarbarum, — po dwunastu godzinach ulep się zlewa, dodaje połowę pozostałego cukru, zagotowuje i już nieco gorętszym zalewa łydgi, trzyma tak znowu nie mniej dwunastu godzin, na koniec trzeci raz zlany ulep zagotowuje, a resztę

cukru wysmaża do gęstości, wrzuca nań łydgi, zagotowuje raz na mocnym ogniu, poczem smaży na bardzo wolnym — z przerwami, to jest odstawiając po razy kilka na dziesięć minut i zagotowuje nanowo, — a to w celu, aby bardzo delikatne łydgi się nie rozgotowały. Gdy się staną przezroczyste, należy konfiturę wylać w fajansowe lub porcelanowe naczynie, zastudzić i dopiero potem składać w słoje. Gdy konfitura gotowa, do gorącej jeszcze dodać na każde kilo konfitury pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, gotować z nią już nie trzeba, tylko wymieszać starannie łyżką. Kto lubi, może dodać, smażąc nieco skórki cytrynowej, nie jest to jednak niezbędne, gdyż samo rumbarbarum ma bardzo miły, specjalny lekki aromat. Tak się smaży konfiturę wykwinną, — do zwykłego, codziennego użytku, do smarowania na chleb i do przekładania ciast można brać mniej piękne i grube łydgi, funt cukru na funt łydgy starczy, gotować można od razu, nie zalewając po razy kilka, — przy smażeniu uważać tylko, aby od dna się nie przypaliło, do czego gęste konfitury zawsze skłonność mają; benzoesu dodawać, jak wyżej; — konfitury gęstsze, najlepiej wprost gorące, wkładać do dobrze wygrzanych słoików; — kto większy zapas ich robi, do kamiennych słoików.

Czereśnie białe. Czereśnie białe dają nie tyle smaczną, — bo są nieco mdłą w smaku, — ile ładną konfiturę, wymagają jednak dużej staranności przy smażeniu, bo każde zgniecenie lub pobicie jest na nich znaczne w postaci brzydkich, ciemnych plam. Czereśnie po wydrełowaniu skropić natychmiast obficie sokiem cytrynowym, (jedna cytryna na każdy funt wydrełowanych owoców). Na funt owocu dosyć funta cukru, a nawet można wziąć cukier po połowie z syropem kartoflany, gdyż czereśnie same przez się są bardzo słodkie, ugotować ulep, zszumować go, wysypać czereśnie, raz mocno zagotować, dalej smażyć na bardzo wolnym ogniu, potrząsając miedniczką, — gdy ulep zgęstnieje, i owoce się staną przezroczyste, odstawić, dodać jak zwykle benzoesu; — kto lubi zapach pestek, niech ich kilka roztlucze i ziarnka smaży razem z czereśniami. Czereśnie można zastudzić w miedniczce, lepiej jednak, ze względu na kwas z cytryn, w porcelanowym naczyniu. Dopiero zupełnie zastygnięte składa się do słoików.

Czereśnie czerwone i czarne. Wydrełować ładne, niepotłuczone i niepogniecione czereśnie, utłuc kilkanaście pestek, wybrać z nich jadra, — na funt czereśni wziąć funt cukru, na funt cukru niepełną szklankę wody, zagotować ulep, zszumować, wysypać nań czereśnie, jadra z pestek, i na każde kilo czereśni strychowaną łyżeczkę kwasu cytrynowego. Dalej postępować we wszystkim tak samo, jak z białymi czereśniami.

Ajer. Właściwy ajer, rosnący na brzegu błotnistych jezior, smażyono dawniej po dworach, a głównie po klasztorach na suchą konfiturę, aromatyczną, lecz niezbyt smaczną. Roboty było przy tem masa, a korzyści mało.

Dzisiaj pod nazwą ajer jadamy konfiturę z rośliny o nazwie botanicznej „angelium archangelicum”, po polsku „dzięgiel” zwanej.

Roślina ta, którą każda baba na wsi pokazać potrafi, mająca dla swego aromatu szerokie zastosowanie przy wyrobie wódek i likierów, daje z młodych łydgy wyborną konfiturę, pożyteczną szczególnie przy ubieraniu ciast i tortów.

Otóż młode łydgi, pokrajane na trzy-calowe kawałki, po starannym oczyszczeniu z nasad liści, sparza się wrzątkiem, trzyma w nakryciu godzin parę, odcodzi na sicie, skrapia nieco sokiem cytrynowym lub posypuje kwasem. Dalej się postępuje z niemi jak z rumbarbarum, to jest zalewa syropem po trzy razy i t. d.

Konfitury tej oddzielnie się nie używa, jest za ostro aromatyczna, do dekoracji ciast jest nieoceniona, w lodach też, w niedużej ilości dawana, nadzwyczajny smak ich podnosi, — smażyć jej więc dużo, na własny domowy użytek, nie radzę.

Pani Elżbieta.

Odpowiedzi z dziedziny kosmetyki.

„Zrozpaczonej” abonentce „Bluszczu”.

Sądząc z opisu, łupież zjadliwy, swędzący, oblepiający wprost skórę głowy, a wynikający z łojotoku, czyli nieprawidłowej funkcji gruczołów łojowych, wystarczy najzupełniej, aby sprawić to spustoszenie, o jakim Sz. pani wspomina. Jednakże zapewniam panią, że choroba ta leczy się z doskonałym skutkiem.

Łupież, przylegający do skóry, zatyka pory i tamuje miejscowe oddychanie, a łatwo możemy to zauważyć, np. skoro dana osoba nosi sztuczny warkocz lub też t. z. „postiche”



na całej głowie, traci stopniowo swe włosie, albowiem głowa również nie oddycha przez brak dostępu powietrza do skóry.

Należy zatem oczyścić i gruntownie zdezynfekować skórę, umywszy głowę mydłami, które ku temu celowi służą, np. mydło z siar-

ką, rterocyną z salicyłem etc.. należy je odpowiednio sporeparować, aby były w płynie i w skórę lepiej wnikały. Skoro już oczyści się zewnętrzną część głowy, co stawiam na pierwszym planie, powinno się również podzielać środkiem silnym, dezynfekującym i zapobiegawczym, aby nowe warstwy łupieżu nie tworzyły się na powierzchni skóry. Do takich środków, (po za innymi) zaliczyć mogę „Trichayen” D-ra Poirona, wypróbowany w podobnych chorobach oraz z wielkim powodzeniem używany nawet na porost włosów, skoro już choroba nsunięta zostanie. Należy używać Trichayenu czas dłuższy, ale już po zużyciu jednego flakonu zauważy Sz. pani znamienne poprawę.

Zwykle kolor włosów, połysk i wygląd tychże zależnym jest od zdrowia włosów.

BARDZO WAŻNE!

Od Administracji.

BARDZO WAŻNE!

DO SZANOWNYCH PAŃ PRENUMERATOREK

Prosimy o uregulowanie zaległej prenumeraty. „Bluszcz” musi regularnie opłacać koszty druku, papieru, musi natychmiast pokrywać wydatki Administracji i Redakcji i nie może absolutnie zaciągać żadnych długów. **Istnienie „Bluszczu”, jego regularna wysyłka Szan. Pren. zależne są wyłącznie od punktualności w uiszczaniu prenumeraty.** Stwierdzamy, że wysyłka „Bluszczu” jest przez Adm. bardzo dokładnie sprawdzana i ewentualne niedokładności w otrzymywaniu numerów przez Szan. Prenum. nie pochodzą z winy Admin., która wszystkie numery — ze względu na uiszczanie opłaty poczt. ryczałtem — dostarcza Urzędowi poczt. za konsygnacją. **Wysyłkę „Bluszczu” wstrzymujemy po otrzymaniu zawiadomienia o przerwaniu prenumeraty lub też w razie nieopłacenia prenumeraty do połowy miesiąca, co nie zwalnia od uiszczenia należności za wysłane, a przyjęte przez prenumerat. numery.** Za wznowienie wysyłki liczyć będziemy należność dodatkową w kwocie 50 groszy. **W razie nieotrzymania „Bluszczu” we właściwym czasie, należy natychmiast numer odnośny zareklamować kartką korespondencyjną.** Reklamacje numerów zaginionych uwzględniane są do 2 tygodni bez pobierania kosztów. **Na wszelką korespondencję Sz. Pren. odpowiadamy tylko w razie przesłania znaczków poczt. na odpowiedź.** Przy przesyłaniu należności za prenumeratę czekiem P. K. O., jak również przy zamawianiu listownem tygodnika, należy podać dokładny i wyraźny swój adres.

„Bluszcz” wychodzi co tydzień w sobotę. Do każdego numeru dołącza się bogato ilustrowany dodatek mód i robót oraz dodatek powieściowy formatu książki, zaś raz na miesiąc do pierwszego n-ru. po 15-ym, bezpłatnie, tablicę krojów. Również można otrzymywać stale miesięcznie jeden arkusz naturalnej wielkości wzorów haftów do kopjowania na materiale, za dopłatą 50 groszy, którą należy wpłacać wraz z prenumeratą. Arkusz ten dołącza się do drugiego Nr. „Bluszczu” po 15-ym każdego miesiąca. Prosimy o rozpowszechnianie „Bluszczu” w kołach swoich znajomych. Panie, które zjedną nam 5 nowych prenumeratorek, wpłacających prenumeratę półroczną z góry, otrzymają „Bluszcz” do końca roku bieżącego **bezpłatnie.** Prosimy o umieszczenie korespondencji na czekach P. K. P. w wyznaczonym na korespondencje miejscu, gdyż wszelkie uchybienia w tym względzie powodują potrzebę pisemnych wyjaśnień.

Do N-ru następnego będzie dołączone premjum w formie arkusza wzorów do białego haftu do kopjowania na materiale.

Włosy matowe, łatwo się plączące, szare i bezbarwne są wynikiem złej cyrkulacji krwi pod skórą i stanu chorobowego. Wskazaniem jest częste szczotkowanie niezbyt twardą szczotką; jest to rodzaj automasażu. Nigdy się nie należy obawiać zbyt wielkiego wychodzenia włosów przy szczotkowaniu; włos chory wyjść musi, a im prędzej, tem będzie lepiej, gdyż podobnie, jak chory ząb zaraża sąsiednie, również i chory włos źle wpływa na stan zdrowia sąsiednich.

Z chwilą, gdy włosy powrócą do zdrowia, odzyskają i ten ładny kolor blond, chwilowo utracony. Elektryzacja włosów nie daje żadnych rezultatów, a często wyniki ujemne, prędzej pomóc może ręczny masaż głowy, umiejętnie stosowany.

Anielki, które mają piękne uwłosienie i dbają o swe włosy, co rano czesząc się, zanurzają ręce we włosy i wykonywują ruchy, masujące skórę, w celu wywołania krążenia krwi oraz usunięcia włosów słabych.

Co się zaś tyczy piegów, należą one do chorób skóry nieuleczalnych; wszelkie maści paljatywnie usuwają takowe, jednakże, o ile maść jest dobra, piegi pojawiają się za zwyczaj w znacznie mniejszej ilości.

Na trzecie zapytanie, dotyczące się rąk odmrożonych, odpowiem dość kategorycznie, że w żadne środki, maści i płyny, użyte zewnętrznie na skórę nie wierzę, szkoda tylko pieniędzy. Odmrożenie wynika z przyczyn wewnętrznych; osoby anemiczne, limfatyczne i t. p., łatwiej odmrożeniom podlegają; krew nie dochodzi prawidłowo do kończyn, ręce i nogi marzną pod działaniem zimna, dlatego normowanie krążenia krwi za pomocą elektryzacji rąk prądem galwanicznym dać może wyniki dodatnie, co mogłam stwierdzić wielokrotnie.

D-rowa Jadwiga Sadowska.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 30

280. Kostjum z brązowej wełny z odciętą falbaną.

281. Kostjum z białego szewiotu, przybrany kolorowym haftem.

282. 283. 284. Wzory motywów i rysunki do ich wykonania. Koronka wenecka.

285. Kostjum z granatowej gabardyny, przybrany szeroką taśmą.

286. Kostjum z lekkiego sukienka. Boki przymarszczane.

287. Kostjum z czarnej wełny z luźnym żakiem.

288. Suknia na ulicę z wełny koloru fox-trott.

289. Suknia z crêpe marocain ciemno zielonego, przybrana kolorowym haftem.

290. Sukienka dla dziecka od lat 2 do 4 z ponsowej flanelki, przybrana czarnymi chwaścikami.

291. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 do 7 z płócienka granatowego, objęte białą plisą.

292. Ubranko dla chłopczyka od lat 5 do 8 z surowego jedwabiu. Kołnierz i mankiety białe, wykończone plisowaną falbaneczką.

293. Sukienka dla dziewczynki od lat 2 do 5 z białego płócienka, przybrana haftem kolorowym.



PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową

WYNOŚI

rocznie 42 zł. — gr.

kwartalnie 10 „ 50 „

miesięcznie 3 „ 50 „

Wraz z arkuszem wzorów do kopjowania o 50 groszy więcej miesięcznie.

Zagranicą:

miesięcznie 7 zł. — gr.

Wraz z arkuszem wzorów do kopjowania o 1 złoty więcej.

zmiana adresu — „ 30 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona 90 zł. — gr.

1/2 „ 51 „ 75 „

1/4 „ 29 „ 25 „

1/8 „ 15 „ 75 „

1/16 „ 9 „ — „

1/24 „ 6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na 1/4 część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,

Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

294. Suknia z lila crêpe de chine'u, wykończona drobnymi falbankami. W pasie sznur fiolkowy.

295. Kostjum dla dziewczynki od lat 8 do 13 z granatowej wełny, przybrany czarnym wyszczem.

296. Kostjum z ciemnej wełny. Guziki pasmanteryjne.

297. Kostjum z peleryną z lekkiej wełny. Spódnica plisowana.

298. Palto z peleryną i dużym kołnierzem.

299. 300. 301. Wzory motywów i rysunki do ich wykonania. Koronka wenecka.

302. 303. 304. Wzory koronki weneckiej i rysunki do wykonania tejże.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien, podanych w dodatku mód, nabywać można w Administracji „Bluszczu”.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skutecznie na blankietach czekowych P. K. O.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

PIG. CHLOROFILOWE
GESSNERA

115 preparat roślinny pobudza apetyt i wzmacnia organizm.

DORAŻNA POMOC Lekarzy Specjalistów

w Warszawie

„AUXILIUM”

Czynna w dzień i w nocy bez przerwy

tel. 403-50.

Udziela niezwłocznej pomocy lekarskiej przez lekarzy wymaganej specjalności w mieszkaniu chorych lub w gabinetach lekarzy KONYLJA
222 Biuro Centrali ul. Żórawia 33.

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA” — Długa 9 i I. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK”.

Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40

Druk Zakł. Graf. „KOŁA POLEK” Nowy-Świat 8-10.